

Prenumerata w Polsce: Kwartalnie 988·— Marek, Półrocznie 1976·— Mk. Rocznie 3952·— Mk. Ameryka: 8 dolarów rocznie. Numer pojedynczy 15 centimów.

Zmiana adresu 1 Markę.

Ceny ogłoszeń: za wiersz petitowy jednoszpaltowy na ostatniej stronie 20 Mp na miejscu specyalnie zastrzeżonem Mp. 30·—, za wiersz petit. w części redakcyjn. 50 Mp. — Zamiejscowe o 50%, zagraniczne o 100% drożej.



Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV.
ulica Kazimierza Wielkiego L. 63 (dom własny).
Telefon Nr. 473.

Naczelny i odpowiedzialny redaktor: Julian Bartoszewicz

W Warszawie do nabycia wszędzie. **„Promień", Łódź, Piotrkowska 81.**

Należytość pocztowa opłacona ryczałtem. **Numer pojedynczy 80 Marek.**

Rok XIX — Kraków, 11 lutego 1922. — Nr. 6.

Po zgonie Papieża Benedykta XV.

Uroczyste przeniesienie zwłok zmarłego Papieża z Sali Tronowej do kaplicy Przen. Sakramentu.

TREŚĆ:

Wybór nowego Papieża. — Po zgonie Papieża Benedykta XV. — Kongres światowy Irlandczyków. — Zmiana kierownika niemieckiej polityki zagranicznej. — Zgon zasłużonej autorki. — Z postępów awiatyki. — Z żałobnej kroniki. — Reforma teatrów lwowskich. — Z wędrówek ks. Walii po Indyach. — Z Teatru. — Nasz „Przewodnik literacki.



Wybór nowego Papieża: Papież Pius XI, przedtem kardynał Achilles Ratti, do r. 1921 nuncyusz apost. w Polsce

Wybór nowego Papieża.

Rzym, a wraz z nim cały świat katolicki, oczekiwał z niecierpliwością wyniku konklawe, rozpoczętego w myśl przepisów kościelnych, w dziesięć dni po zgonie poprzedniego Papieża.

Obecne konklawe trwało cztery dni, tłumy zalegały plac przed kościołem św. Piotra w Rzymie, w dniu 6. lutego z balkonu zewnętrznego bazyliki ogłosił kardynał dyakon zebranym, że następcą Benedykta XV. wybrany został kardynał Achilles Ratti, biskup Medyolanu.

Na ostatniem konklawe ścierały się ze sobą dwa kierunki polityki kościelnej, jeden z nich, idący po linii dążeń Papieża Piusa X., reprezentowany przez grupę kardynałów, skupiających się około osoby kardynała Merry de Val, drugi będący dalszym ciągiem zapatrywań Benedykta XV., mających na celu tak pracę organizacyjną wewnątrz samego Kościoła, jak też ułożenie i utrwalenie jego stosunku do świata zewnętrznego, przedewszystkiem zaś dążenie do pojednania z Kwirynałem. Żaden z tych kierunków nie odniósł decydującego zwycięstwa, wybór padł na członka Św. Kollegium, należącego do centrum, nie przechylającego się otwarcie ani w tę, ani w tamtą stronę. W każdym razie wybór kardynała Rattiego, męża zaufania Papieża Benedykta świadczy, że kierunek polityki tegoż ostatniego nie ulegnie i w dalszym ciągu wybitniejszej zmianie.

W nowym Sterniku łodzi Piotrowej wita Polska dobrego swego znajomego i przyjaciela, który w ciągu pobytu swego wśród nas, jako wizytator i nuncyusz apostolski, miał sposobność dobrze nas poznać i nie szczędził nam nigdy wyrazów i dowodów swego uznania i zaufania.

W chwili, gdy tyara papieska uwieńczyła Jego skronie, śle mu cała Polska z serca płynące życzenia: *Ad multos felicesque annos!*



Po zgonie Papieża Benedykta XV.

(Do illustracyi tytułowej i illustracyi w tekście).

Ceremonie, przepisane rytuałem kościelnym, towarzyszące zgonowi Ojca Świętego i jego pogrzebowi, bardzo okazałe, przestrzegane są z drobiazgową skrupulatnością.

Z chwilą śmierci Papieża, tymczasowe rządy Kościoła przechodzą w ręce kardynała kamerlinga (pierwszego papieskiego podkomorzego) i trwają aż do zakończenia konklave, to jest do wyboru nowego Papieża.

Pierwszą czynnością po zgonie Papieża jest stwierdzenie jego śmierci. W tej kwestyi jest bardzo popularną opowieść o srebrnym młotku, którym kardynał kamerling ma trzykrotnie uderzyć w czoło zmarłego Papieża, wołając nań imieniem jego chrzestnem, poczem obróciwszy się do towarzyszącego mu orszaku, powiada: „Papież rzeczywiście umarł". Po śmierci Piusa IX., widzieliśmy nawet rycinę, przedstawiającą ówczesnego kamerlinga, kard. Pecci'ego z młoteczkiem w ręku u łoża swego poprzednika. Tymczasem poszukiwania w archiwum Kongregacyi Ceremoniału, gdzie się przechowują protokóły oględzin zwłok papieskich, nic o onym młoteczku nie mówią i faktem jest, że onej ceremonii po śmierci trzech ostatnich poprzedników Benedykta XV. nie było: należy zatem ją przesunąć do rzędu legend.

Prawdą jest tylko, że stwierdzenia śmierci dokonywa kardynał kamerling, a po odmówieniu modlitwy za duszę nieboszczyka, żąda wydania sobie pierścienia Rybaka.

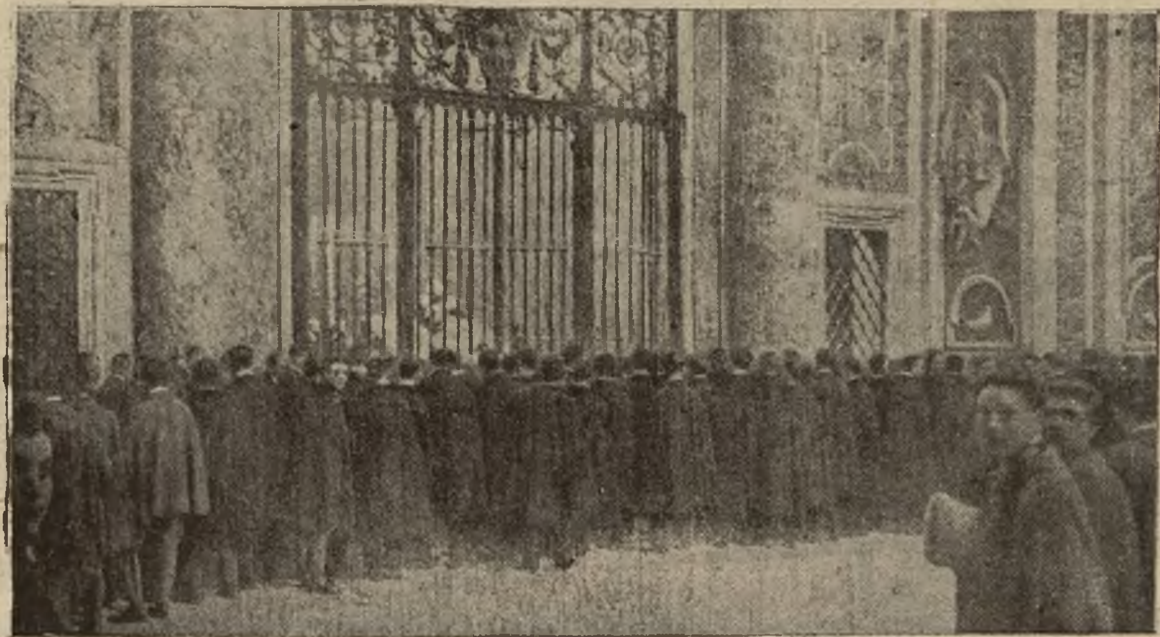
Po stwierdzeniu śmierci Papieża, spowiednicy bazyliki watykańskiej (są nimi Franciszkanie) ubierają zwłoki w sutannę, rokietę, muset i stułę; na głowę kładą camauro (czapką podobną do czepka, zachodzącą na uszy). Następnie zwłoki złożone na marach są wystawione na widok publiczny w jednej ze sal pałacu apostolskiego, zazwyczaj w sali tronowej.

W 24 godzin po śmierci balsamują ciało, a wnętrzności umieszczone w urnie kryształowej, bywają przewiezione do kościoła św. Wincentego i Anastazego opodal Kwirynału, celem ich tam pochowania. Po śmierci Piusa X. balsamowania nie było, na skutek wyraźnej woli nieboszczyka, który w swej pokorze chciał mieć pogrzeb najskromniejszy.

Wieczorem drugiego dnia po zgonie ubierają ciało zabalsamowane w szaty pontyfikalne barwy czerwonej (kolor żałobny papieski), poczem przenoszą je do kaplicy Przen. Sakramentu bazyliki watykańskiej, gdzie są wystawione przez trzy dni, trzeciego dnia wieczorem ma miejsce intumulacya (pochowanie). Zwłoki umieszczają w trumnie cyprysowej, a majordomus papieski przykrywa twarz zasłoną białą jedwabną, a ciało takąż zasłoną czerwoną. Tę trumnę kładą do drugiej ołowianej z krzyżem na wierzchu, herbem zmarłego, napisem i trupią głową. Obie trumny umieszczają w trzeciej, dębowej, którą Sanpietrini (kościelni bazyliki watykańskiej) wsuwają do niszy wobec kardynałów i kapituły watykańskiej. Tam spoczywa ona prowizorycznie, póki jej nie przeniosą na stałe miejsce spoczynku. — Pius X. obrał je sobie w podziemiach św. Piotra i dlatego odrazu je tam pochowano. — Tymczasem Leon XIII. do dziś dnia spoczywa u św. Piotra, gdyż kwestya przewiezienia ich do Lateranu, gdzie Leon XIII. chciał być pochowanym, jest skomplikowana wobec faktu, że Rzym jest ciągle *sub dominatione hostili*. Tu należy dodać, że w pierwszej trumnie umieszczają jeszcze w rurce szklanej biografię zmarłego, napisaną treściwie po łacinie na pergaminie, oraz zbiór medali bitych corocznie za pontyfikatu świeżo skończonego, a przedstawiających jakieś z każdego roku najważniejsze zdarzenie.

Od pierwszego dnia, kiedy ciało w bazylice św. Piotra wystawiono, odprawia się codziennie uroczyste nabożeństwo żałobne zw. novemdialia. Trzy ostatnie te nabożeństwa są wobec całego św. Kollegium w kaplicy sykstyńskiej, celebruje codzień inny kardynał, a czterej z nich odprawiają po Mszy św. *Castrum doloris*. Ostatniego dnia jeden z prałatów ma mowę pochwalną. Na tem się kończą ceremonie pogrzebu papieskiego; następnego dnia odprawiają uroczyste nabożeństwo o szczęśliwy wybór następcy, a kardynałowie wysłuchawszy przemowy o przymiotach tego, którego mają wybrać, wieczorem zamykają się w konklawe.





Po zgonie Papieża Benedykta XV.: Zwłoki Papieża Benedykta XV. wystawione na widok publiczny w kaplicy Przen. Sakramentu.

Kongres światowy Irlandczyków.

Irlandya zajmuje się bardzo poważnie kwestyą swej przyszłości i odrodzenia narodowego. Świadczy o tem kongres ogólnoświatowy Irlandczyków, urządzony dzięki inicyatywie de Valery w salach hotelu *Continental* w Paryżu w dniu 23 stycznia i następnych. Reprezentowaną na nim była bardzo licznie ludność pochodzenia celtyckiego, zamieszkująca tak właściwą Irlandyę (5 milionów), jak i rozrzucona po świecie (18 milionów), głównie w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie. Przedmiotem obrad były najżywotniejsze kwestye, mające na celu gruntowne odrodzenie Irlandczyków pod względem narodowym, a osoba zwołującego kongres, de Valery, daje gwarancyę, że nie będzie się uciekać do żadnych półśrodków, lecz otwarcie i nieustraszenie podąży się do osiągnięcia wytkniętego celu.

Prezydował na kongresie Juan O'Donnel, książę Tetuan, syn Leopolda, jenerała i męża stanu hiszpańskiego, który odznaczył się w walkach w Marokku i za zdobycie otrzymał tytuł książęcy. Choć stale zamieszkuje w Hiszpanii, jest Irlandczykiem z krwi i kości, zajmuje się żywo ruchem narodowym i staje



Po zgonie Papieża Benedykta XV.: Ostatni portret Benedykta XV., malowany dla Watykanu przez malarza alzackiego H. Umbrichta.

otwarcie po stronie najskrajniejszych sinfeinistów. Z pośród wybitniejszych uczestników kongresu wymienić należy: hr. Markiewicz, uczestniczkę powstania w r. 1916 w Dublinie, p. Mac Swiney, siostrę burmistrza Corku, który swe polityczne przekonania przypłacił głodową śmiercią w angielskiem więzieniu, artystę malarza O'Brien, energicznego reprezentanta Sinfeinistów w Londynie, poetę Yeats, doktora Douglasa Hyde itd. Jedną z najwięcej uwagi i zainteresowania budzących osobistości był przede wszystkiem par irlandzki, lord Ashbourne, który wystąpił w starożytnym narodowym kostyumie irlandzkim.

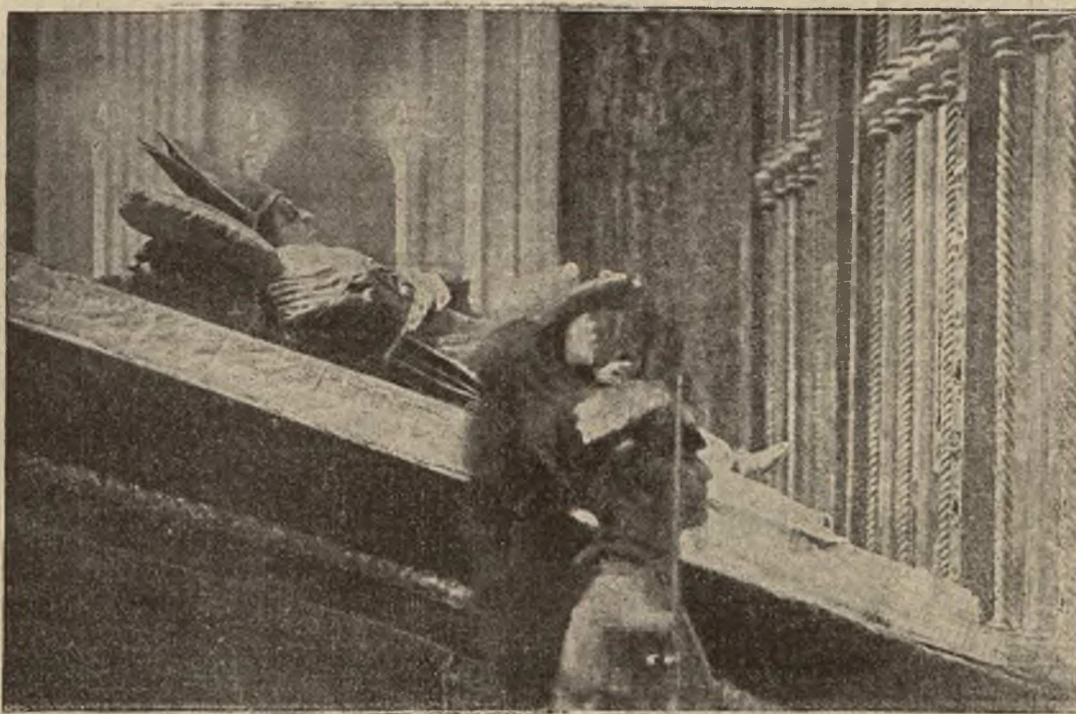
Omawiano sprawy natury ekonomicznej, politycznej, najwięcej zaś czasu poświęcono sprawom kulturalnym, przedewszystkiem zaś językowi celtyckiemu, który ma wyrugować zupełnie z życia Irlandczyków używany dziś powszechnie język angielski. Sprawę tą referował lord Ashbourne, który oświadczył, że posługiwanie się obcą mową jest zbrodnią przeciw narodowi i symptomem narodowej śmierci.

W ciągu czterodniowego trwania kongresu powzięto szereg uchwał, mających na celu odrodzenie narodu irlandzkiego na każdem polu, omawiano także, jakiej trzymać się należy na przyszłość, zaznaczając wyraźnie, że siła narodu leży w jego jedności.



Zmiana kierownika niemieckiej polityki zagranicznej.

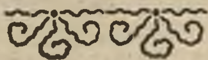
Powołanie Rathenaua na stanowisko niemieckiego ministra spraw zagranicznych przyjęto ogólnie do wiadomości z wielkiem niezadowoleniem, którego



Po zgonie Papieża Benedykta XV.: Wnętrze kaplicy Przen. Sakramentu ze zwłokami Papieża, strzeżonemi przez Gwardyę Szlachecką.

wyrazy nadchodzą do Berlina od kół nacyonalistycznych ze wszystkich stron kraju. Wszystkie nacyonalistyczne organizacye w Bawaryi m. in. bawarska partya niemiecko narodowa, niemiecka partya ludowa, Niemiecki Ludowy Związek Obrony i Oporu, Niemiecki Związek Oficerów i Freikorps Oberland powzięły uchwałę w sprawie przedstawicielstwa Niemiec w Genui. W uchwale tej organizacye nacyonalistyczne ganią mianowanie Rathenaua ministrem spraw zagranicznych, gdyż sądząc z jego dotychczasowych działalności nie nadaje się na przedstawiciela Niemiec. W szczególności żądą uchwała, ażeby Niemcy były reprezentowane w Genui nie przez przedstawiciela międzynarodowego ducha finansowego, jak się określił sam Rathenau, ale przez prawdziwego Niemca.

Czy wybór Rathenaua na to odpowiedzialne stanowisko był trafny, okaże niedaleka przyszłość, w każdym razie przyznać trzeba, że jest to człowiek z tokiem spraw politycznych dokładnie obznajomiony, a tylko taki nadaje się do wzięcia udziału w konferencyi genueńskiej. Niemieccy nacyonaliści, podnosząc głosy oburzenia przeciw temu wyborowi, dają w ten sposób wyraz, że Rathenau nie potrafi skutecznie bronić interesów narodowych, co jest jednak zręcznem odegraniem komedyi politycznej, gdyż nowy minister dotychczasową swą działalnością złożył aż nazbyt wiele dowodów, że jest on siłą bynajmniej nadziei opanowania świata przez Niemcy, na razie może nie orężnie, gdyż na to czas nie odpowiedni, lecz ekonomicznie i finansowo.



Zgon zasłużonej autorki.

Z Mławy doszła nas smutna wiadomość o śmierci ś. p. Zuzanny Morawskiej, zasłużonej autorki licznych prac literackich, poświęconych naszej młodzieży.

Przez długi szereg lat pracowała Zmarła na niwie ojczystej literatury, zdolności swe literackie oddając na usługi wychowania młodego pokolenia i starając się przemówić do jego serca i duszy słowem drukowanem, równie ważnem i skutecznem, jak żywe. Wiemy o tem dobrze, jak skwapliwie chwyta młodzież za każdy zadrukowany świstek papieru, podanie jej też tą drogą zdrowej strawy duchowej uważać należy za czynnik wychowawczy i uświadamiający o pierwszorzędnem znaczeniu, a zasługi na tem polu położone, kto wie, czy nie są większe, niż tych, którzy drukowanem słowem przemawiają do umysłów już zupełnie rozwiniętych. Niestety, u nas jakoś nie docenia się należycie pracy w tym kierunku, a autorów, piszących dla młodzieży, choćby nawet najgenialniejszych, spycha się niesłusznie na drugi plan, choć im należy się pierwsze miejsce, oni bowiem uzupełniają to, czego dokonać nie może dom i szkoła.

Jedno z pierwszych miejsc wśród tych prawdziwych i nieocenionych przyjaciół dzieci i młodzieży,



Kongres światowy Irlandczyków: Inauguracyjne posiedzenie kongresu w Paryżu w dniu 23 stycznia b. r.

umiejących się dostosować do pojęć młodego wieku i niosących dlań „oświaty kaganiec", należy bezsprzecznie ś. p. Zuzanna Morawska, zgon jej odbił się też smutnem echem w całym kraju.

Urodzona w roku 1848 we wsi Sokołówce pod Ciechanowem, ś. p. Zuzanna Morawska życie niemal całe poświęciła pracy literackiej i pedagogicznej, prowadzonej w duchu szczytnie patryotycznym i ideowym. Powieściami historycznemi takiemi jak „Giermek Książęcy" (1890), „O szarej godzinie", opowiadania z dziejów ojczystych (1883), „Wilcze Gniazdo" (1896) i wiele innych, budziła w młodych sercach gorące umiłowanie historycznych tradycyi narodowych. Nie zapominała również i o najmłodszych

członkach dziecięcego światka, dając im „Pogadanki z dziećmi od lat 5 do 7". Przedmioty otaczające (1880). Książki te, odznaczające się bardzo zajmującą treścią i ładną formą, były ulubioną lekturą młodych czytelników. Nadto ś. p. Zuzanna Morawska była stałą współpracowniczką dwóch świetnych wydawnictw peryodycznych dla młodzieży: „Wieczorów rodzinnych" i „Przyjaciela Dzieci".



Zmiana kierownika niemieckiej polityki zagranicznej: Nowy niemiecki minister spraw zagranicznych, Rathenau

Z postępów awiatyki.

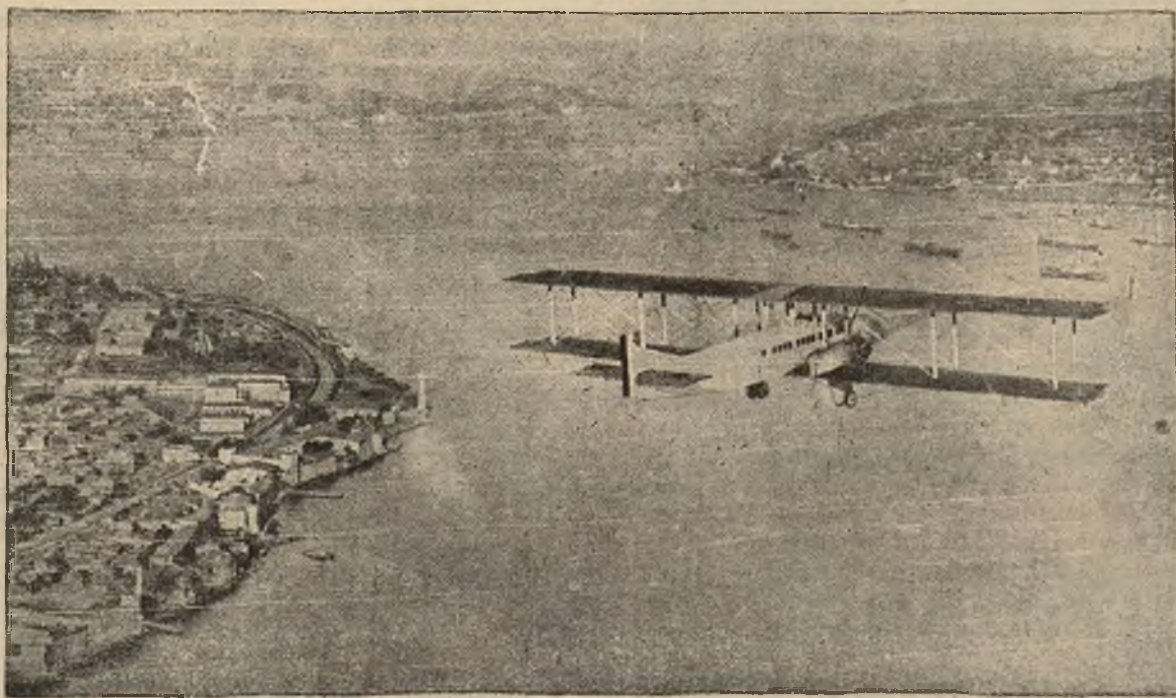
Pisma sportowe francuskie zestawiając bilans postępów awiatyki, dochodzą do przekonania, że rok 1921 był dla rozwoju lotnictwa bardzo pomyślny. Mają oczywiście na myśli tę dziedzinę sportu o tyle, o ile to odnosi się do Francyi, zupełnie coś podobnego widzi się jednak i w innych krajach, gdzie lotnictwo rozwija się coraz pomyślniej i rychło patrzeć, jak stanie się zwykłym i popularnym sposobem lokomocyi, oszczędzającym bardzo wiele na czasie.

Rok ubiegły stanowił okres udoskonalenia lotnictwa i robienia z niego rzeczywistego środka nowoczesnej techniki. Nietylko za granicą pracowano nad rozwojem lotnictwa — u nas również otworzono fabrykę płatowców, powstało czasopismo „Lot" i zaczęto organizować studya specyalne na politechnice warszawskiej.

Na Zachodzie, gdzie pracowano nad lotnictwem od początku wojny, lub jeszcze dawniej, osiągnięto daleko większe rezultaty. Jeśli chodzi o sprawność aparatów lotniczych, to aeroklub francuski stwierdził największą szybkość (na przestrzeni 1 kilometra) 330275 klm. na godzinę, uzyskaną przez Sadi Lecointe'a, na przestrzeni 100 klm. — 20 m. 5 i dwie piąte sek. osiągnął Brakpopuli na przestrzeni 200 klm. — 42 m. 39 i cztery piąte sek. Kirsch. Pierwszy i trzeci latali na najnowszych płatowcach fabryki francuskiej Nieuport Astra, zwanych Nieuport Delage. Płatowce te zaopatrzone były w silniki 300 konne, typu Hispeno Suizo. I wogóle zaznaczyć należy, że jest to obecnie najlepszy typ silnika lotniczego. Komunikacya lotnicza rozwinęła się bardzo, szczególnie we Francyi, gdzie uruchomiono połączenie Paryż—Warszawa. oraz przygotowano linie powietrzne do Bukaresztu i Konstantynopola oraz Tokio. Niemcy opracowały projekt wszechświatowej sieci powietrznej, obliczonej jednakże na dalszą metę. Co do Polski, to zaznaczyć należy projektowane linie Warszawa—Wilno—Moskwa i Gdańsk—Bukareszt.

Jakościowo komunikacya lotnicza wzmogła się znacznie. Tak np. linia Paryż—Londyn obsługiwana jest cztery razy dziennie przez kilkanaście płatowców i obecnie czynione są przygotowania do lotów nocnych, aby lotnictwo oddać mogło usługi każdemu i o każdym czasie. Oryginalny pomysł pojawił się we Francyi. Oto postanowiono tam zbudować kolosalnych rozmiarów reflektor, zaopatrzony w 8 soczewek i posiadający siłę światła 1,000.000 świec. Reflektor ten umieszczony na szczycie Mont Afrique pod Dijon oświetlać ma pole w promieniu 320 klm. i wskazywać płatowcom latającym nocą drogę. Jeden taki reflektor wystarczy na całą Francyę.

Ponieważ komunikacya lotnicza wkracza coraz silniej na teren międzynarodowy, przeto w roku ubiegłym odbyto szereg konferencyi. Ostatnia konferencya odbyła się w Madrycie, na której uczestniczyli przedstawiciele Anglii, Argentyny, Belgii, Brazylii, Czechosłowacyi, Danii, Francyi, Holandyi, Japonii Norwegii, Polski, Portugalii, Stanów Zjednoczonych, Szwecyi, Szwajcaryi, Urugwaju i Włoch. Była to



Z postępów awiatyki: Wielki aeroplan Misyi aeronautycznej francuskiej przy wejściu do Bosforu, między Serajem a Skutari.

zarazem największa narada międzynarodowa w sprawie ujednostajnienia przepisów lotniczych.

Żadnych większych przelotów nadmorskich w roku ubiegłym nie dokonano, poczyniono zato wszelkie przygotowania do lotu dookoła świata, który przedsiębierze pilot angielski Ross Smith.

Radiotelefon i telegraf stosowany jest w lotnictwie coraz częściej i to nie tylko do rozmów lecz i do kierowania płatowcem bez obsługi, oraz prowadzenia aparatów we mgle. Próby robione w tych kierunkach dały świetne wyniki. Również projektowane jest stale informowanie radiotelegraficzne płatowców co do warunków atmosferycznych. Wpłynie to nietylko na znaczne zwiększenie bezpieczeństwa, lecz podniesie również sprawność komunikacyjną lotnictwa.



Zgon zasłużonej autorki: Sp. Zuzanna Morawska, zmarła w Mławie, w dniu 6 stycznia b. r.

Z żałobnej kroniki.

W ubiegłym tygodniu złożono w Krakowie na wieczny spoczynek zwłoki śp. jenerała por. W. P. inż. Tadeusza z Wiatrowic Wiktora.



Z żałobnej kroniki: S. p. jen. por. W. P. inż. Tadeusz z Wiatrowic Wiktor.

Potomek ziemiańskiej rodziny z Sanockiego, urodzony w r. 1859 w Swirzu we wschodniej Małopolsce, po ukończeniu średnich szkół w Szwajcaryi oraz najwyższych wojskowych studyów technicznych we Wiedniu już jako młody oficer odznaczał się wybitnemi zdolnościami, co ułatwiło mu szybką karyerę wojskową w sztabie inżynieryi, przeważnie poza granicami ojczystej ziemi. Tęskniąc jednak do rodzinnego kraju, postarał się o stanowisko w Tarnowie jako pułkownik 57 p. p. Z powodu nadwątlonego zdrowia przeszedł w r. 1908 na emeryturę, osiadł we Lwowie, gdzie wspólnie z obecnym jenerałem broni Józefem Hallerem opracowywał plan militaryzacyi lwowskiego „Sokoła".

Powołany do czynnej służby z powodu wojny, był jakiś czas na Węgrzech, skąd przeniesiono go znowu do Polski do Opoczna, gdzie zorganizował komendę obwodową. Przez swoją działalność wybitnie narodową zjednał sobie uznanie i szacunek wszystkich warstw tamtejszego społeczeństwa, czem jednak naraził się na niezadowolenie najwyższych władz wojskowych.

Gdy obywatelstwo dowiedziało się, że jest zamierzone przeniesienie go na inne stanowisko, wysłało deputacyę, która pod przewodnictwem barona Bayskiego udała się do arcyksięcia Karola Stefana z Żywca z prośbą, by tenże spowodował pozosta-

RENE BURES.

Zil=X...

(2) tłómaczyła z francuskiego MARYA SEGENY.

— Nie ma trudu nie potrzebnego dla takiego jak ja urzędnika — oświadczył z godnością Giroux. Dla urzędnika, który chce wykazać prawdę, Reasumuję więc wszystkie moje pytania w jedno ostateczne. Czy może mi pan wykazać, że wieczorem we wtorek znajdował się pan u siebie w willi Bzów? Czy może mi pan wykazać, że przedwczoraj nie widział się pan z kapitanem de Limandoux?

— A ja znowu, zapytam pana ze swojej strony: Czy może mi pan wykazać, że się z nim widziałem?

— Ależ tak, tak! — zaśmiał się ironicznie sędzia Giroux. - Do tej pory nie słyszano jeszcze, aby rewolwery miały zwyczaj przenoszenia się dobrowolnie do domów, gdzie dokonane zostały morderstwa! Zazwyczaj morderca sam je ze sobą przynosił. Panie Dambleuse! znaleziono pana rewolwer przy zwłokach, zdaje się pan zapominać o tym fakcie bardzo poważnym dla pana.

— Mówiłem już panu, że nie mam pamięci.

— Panie — wybuchnął sędzia Giroux niecierpliwie. — Zwróciłem już panu uwagę, że system obrony, który pan sobie obrał, zamiast być pomocnym, zaszkodzić tylko może. Człowiek niewinny nie odmawia wszelkich odpowiedzi i nie okazuje takiego nieprawdopodobnego uporu.

— Trzeba przedtem jednak porozumieć się — odpowiedział spokojnie Jerzy Dambleuse — czy pan sądzi według faktów, czy też podług mojego zachowania się. Zdaje mi się, że wolno wybierać sposób zachowania się jaki mi się podoba. Panu zaś nie wolno wyciągać z tego żadnych wniosków. Pan mnie zaaresztował. Dobrze... ale ja panu po raz ostatni mówię: jestem niewinny. Czy pan mi wierzy lub nie nic mnie to nie obchodzi. Niechże pan więc dowoli wykazuje moją winę. Przyzna pan jednak, że byłbym bardzo głupi, gdybym chciał być panu pomocnym w tym kierunku.

Pan sędzia Giroux napróżno chciał wpłynąć na oskarżonego, by zmienił swoje postanowienie. Napróżno chciał mu wykazać, że jego upór może wywołać fatalne dla niego skutki. Jerzy Dambleuse patrząc mu prosto w oczy wysłuchał go z obojętną grzecznością, uśmiechając się lekceważąco od czasu do czasu.

Nakoniec sędzia zniecierpliwiony nie widział już przed sobą nic lepszego do uczynienia jak odesłanie go z powrotem do więzienia. — Oskarżony przeszedł przez kurytarz Pałacu Sprawiedliwości krokiem spokojnym i z pogodną twarzą. Pan Giroux zaś pozostał w swoim gabinecie, wściekły, zły, zniecierpliwiony, nie wiedząc co począć ze sobą. Długo męczył się nad wynalezieniem środka, któryby zmusił oskarżonego do przełamania uporczywego milczenia. I wówczas wpadł na urządzenia wielkiej inscenizacyi pod wrażeniem, której oskarżony musiałby ostatecznie się zdradzić. To, że Jerzy Dambleuse zamordował kapitana de Limandoux i pozostawił u niego swój rewolwer, było rzeczą niezaprzeczoną. Należało jednak jeszcze ustalić fakt że młody awiator brał udział w dramacie rozegranym tylko jedno podejrzenie: Jerzy Dambleuse wynym w willi Bzów. Co do tej ostatniej sprawy istszedł od siebie na kilka minut przed zamordowaniem senatora Poivrier i jego rodziny. Ta poszlaka była jednak bardzo nikła. Nawet zaciekłość i gorliwość sędziego Giroux nie mogła w niej wynaleźć podstawy do oskarżenia. Sędzia zdecydował się zaprowadzić Jerzego Dambleuse do willi Bzów i na miejscu skonfrontować go z zainscenizowaną sceną zbrodni.

Miało to się odbyć nazajutrz. Wszystkie dzienniki podały tę senzacyjną wiadomość. Wszystkie również na swój sposób tłómaczyły silny upór oskarżonego i jego milczenie. Tam, gdzie spodziewano się gorących słów obrony uniewinnienia, oburzenia, spotkano się jedynie ze spokojem i ironicznemi słowami. Rezultat tej niespodzianki był taki, że cała opinia publiczna zwróciła się przeciw Jerzemu Dambleuse.

Spotkanie narzeczonych.

Podtrzymany w ten sposób ogólnym nastrojem sędzia Giroux mógł więc bez narażenia się na krytykę, zorganizować konfrontacyę, którą sobie ułożył. W tym wypadku jednak sędzia Giroux mało zwracał uwagi na opinię publiczną. Należał on do tych urzędników sądowych, którzy nie zważają na to co mówią poza drzwiami ich gabinetów. Nie dbał on wcale o zwyczaje i zasady przed nim przyjęte. Przyszedłszy do wniosku, że podobne przedsiewzięcie może okazać się użytecznem dla śledztwa jego, przystąpił do niego natychmiastowo. A że inscenizacya ta mogła przypominać zakulisową robotę teatrzyków podmiejskich o tem nie myślał pan Giroux wcale.

Jerzy Dambleuse miał więc być zawieziony do willi Bzów, gdzie sędzia chciał przez obmyślane niespodzianki uzyskać całkowite i zupełne jego wyznanie. Rozumiał on jednak, że człowiek o charakterze takim nie ulegnie prędko pierwszemu brutalnemu wzruszeniu. Wyszukał więc jeszcze sposób do podziałania na duszę oskarżonego środkiem subtelniejszym. W tym celu zaprosił pannę de Beaumont do wzięcia udziału w projektowanej inscenizacyi. Panna de Beaumont chociaż pragnęła gorąco odkrycia prawdy, zawahała się w ostatniej chwili. Nie potrzebuję jednak wyjaśniać motywów jej wahania. W tej chwili, kiedy to piszę widzę ją jeszcze wchodzącą do biura Daltona i oznajmiającą nam o dziwnem pragnieniu sędziego Giroux. Byłem oburzony tą niedelikatnością. Cóż to wymagał od niej ten surowy człowiek idący jedynie za literą prawa. Chciał sprowadzić młodą dziewczynę do domu, gdzie matka jej i dziadek zostali zamordowani i w obecności zaaresztowanego stojącego między dwoma żandarmami wtajemniczać ją w perfidyjną robotę policyi! Nie mogłem się powstrzymać od okazania mojego oburzenia, lecz Dalton poprosił mnie delikatnie o spokój i zauważył, zresztą słusznie, że panna de Beaumont sama zwróciła się do dyrektora policyi z prośbą o uczestniczenie w śledztwie. Sędzia mógł się czuć upoważniony do podobnej prośby, która w pierwszej chwili mogła się nam wydać niedelikatnością i nie na miejscu. Ten argument uderzył mnie i nie przeszedł także bez wrażenia na pannie de Beaumont.

Dalton spokojnym głosem wykazywał w dalszym ciągu pannie de Beumont, że musi przyjąć prośbę sędziego, lecz że powinna mu zaznaczyć, że na konfrontacyę tę zjawi się w towarzystwie dwóch przez nią obranych przyjaciół. Pan Giroux będzie prawdopodobnie zanadto uszczęśliwiony ze swojej wygranej, aby nie przyjąć podanych warunków. Postanowione więc zostało, że Dalton i ja towarzyszyć będziemy pannie de Beaumont i w ten sposób być świadkami wszystkiego. Panna de Beaumont zgodziła się chętnie na wszystko i z biura Daltona wysłała natychmiast list do sędziego, że stawi się u niego ze swoimi przyjaciółmi.

Sędzia odpisał z podziękowaniem nie powstając wcale przeciwko obecności dwóch osób nieznajomych będąc zapewne w przekonaniu, że panna de Beumont wybrała sobie do towarzystwa dwóch starych przyjaciół swej rodziny, nieprzyjaciół wszelkich niedyskrecyi i skandalu. W ten sposób moglibyśmy być świadkami sceny która nigdy nie wyjdzie mi z pamięci.

Przybyliśmy do willi Bzów automobilem o godzinie dziewiątej rano. Panna de Beaumont podczas jazdy nie wymówiła ani jednego słowa. Siedziała wyprostowana z oczami utkwionemi w przestrzeń, głęboko zamyślona i smutna. Uszanowaliśmy jej milczenie. Po paru minutach automobil wjechał do ogrodu otaczającego willę Bzów. Jakiś ajent, który prawdopodobnie czekał na nas zaprowadził nas do sali jadalnej oznajmiając nam, że sędzia Giroux wkrótce przyszle po nas. Oczekiwanie nie trwało długo. Po kilku minutach zaledwie wszedł inny ajent prosząc nas o udanie się do do pokoju zajmowanego przez pana Giroux. Sędzia siedział w gabinecie przed biurkiem senatora Poivrier, Jerzy Dambleuse siedział naprzeciw niego z twarzą spokojną i zrównoważoną. Lecz skoro ujrzał pannę de Beaumont zbladł i powstał okazując wielkie oburzenie.

Sędzia Giroux powstał również ukłonił się sztywno i usiadł natychmiast z powrotem z miną człowieka, którego towarzyskie formy nie obchodzą zupełnie. Wzruszenie oskarżonego nie uszło jego uwagi i chciał prawdopodobnie jak najprędzej je wykorzystać.

— Panie Dambleuse — przemówił suchym głosem — do tej pory odmawiał mi pan wszelkich odpowiedzi, przypominam, panu jednak teraz o ciężkich zarzutach ciężących na panu. Wychodził pan w tajemniczy sposób dwukrotnie z domu. Za pierwszym razem dramat straszny rozegrał się w tym samym pokoju, w którym się obecnie znajdujemy. Nie będę o nim mówił przez litość dla znajdującej się tutaj ofiary pana. Czy pan wie, że to są fakta bardzo obciążające pana.

— Na te ostatnie słowa wymówione przez sędziego głosem pełnym groźby Jerzy Dambleuse zadrżał cały. Zdawało się, że chce coś powiedzić, lecz spojrzał tylko w stronę panny de Beaumont i spuścił oczy.

— Za drugim razem — ciągnął dalej sędzia — został zamordowany kapitan de Limandoux. Znaleziono przy nim pana rewolwer. Czy dalej trwa pan w uporaniu się niepamiętania o tych dwóch zajściach nocnych?

— Zwrócili wszyscy oczy na Jerzego Dambleuse oczekując odpowiedzi.

— Nie, nie przypominam sobie — wyrzekł suchym bezdźwięcznym głosem.

Musiałem sam przyznać, że Jerzy Dambleuse bronił się źle i że jego niewytłómaczone milczenie było strasznem argumentem przeciw niemu. Dalton siedział nieruchomy. Panna de Beaumont zaś wlepiła oczy w oskarżonego i zdawała się być bardziej zdziwioną niż wzruszoną. Sędzia Giroux uśmiechnął się sarkastycznie i nie zadawał żadnych pytań. To ogólne milczenie niepokojąco podziałało na Jerzego Dambleuse.

Spojrzał po nas kolejno i nagle zaczął mówić małemi urywanemi zdaniami.

— Tak, oto jest sprawiedliwość. Oskarżony musi się przyznać do winy. Lub też milczenie jest dowodem jego winy. Niema pan przeciw mnie żadnego dowodu. Nic, nic zgoła. Rewolwer? Czy nie mógł kto mi go wykraść w celu zamordowania pana de Limandoux. Ale nie! pan nie uznaje tej hypotezy! Szczególny z pana pozytywista panie sędzio! Powiada pan, że wychodziłem dwukrotnie z domu? I za każdym razem szedłem mordować? Tutaj w tym pokoju miałem dokonać całkowitej rzezi. Tak! wychodziłem. Pan tak twierdzi i cóż innego mogłem robić, jak tylko popełnić trzy morderstwa. Oto do czego pan doszedł panie sędzio! Człowiek uczciwy nie może wyjść z domu, bez dostarczenia podejrzeń na samego siebie. Nie byłem w swojem mieszkaniu w nocy dokonanych zbrodni..... to panu wystarcza. Nikt inny tylko ja zabiłem. O, panie sędzio, ciekawą pan ma logikę.

Przerwał, jak gdyby nagle miał wybuchnąć łkaniem. Sędzia Giroux wykorzystał tę chwilę wzruszenia, by zapytać.

— O ile się nie mylę, przyznaje się pan do wyjścia z domu w noc zbrodni.

— A więc tak, wyznaję to — zawołał Jerzy Dambleuse — tak, tak... wyznaję.... Cóż zadowolony pan teraz? Wyszedłem od siebie w nocy, w której zamordowano trzy osoby. Wyszedłem jeszcze raz z mieszkania tej drugiej nocy, w której kapitan de Limandoux został zamordowany. Przyznaję to głośno otwarcie, a teraz proszę mi wytłómaczyć, przez jakie wnioski doszedł pan do konkluzyi, że te dwie noce spędziłem na popełnieniu tych karygodnych czynów.

— Niech pan pozwoli — przerwał pan Giroux, który przestał się już uśmiechać i panował widocznie nad zachowaniem zimnej krwi. — Niech pan pozwoli, ja pana nie podejrzywam dlatego, że pan wychodził, tylko dlatego, że pan nie chce się przyznać, gdzie pan chodził. Czy mnie pan rozumie, panie Dambleuse?

— Doskonale — odpowiedział oskarżony.

— Proszę tylko pana o alibi — ciągnął sędzia — niech mi pan udowodni gdzie pan był, a natychmiast zostanie wypuszczony na wolność! Taka jest moja sprawiedliwość panie Dambleuse.

— Oskarżony opuścił nisko głowę na piersi i milczał a tymczasem sędzia mówił dalej.

— Pierwszej nocy wyszedł pan pieszo. Willa Bzów znajduje się w sąsiedztwie pana. Za drugim razem wyjechał pan konno. Willa kapitana de Limandoux odległą jest o piętnaście kilometrów. Niech pan nie mówi, że moja logika jest dziwna. Powiązałem wszystkie przyczyny we fakt jeden, łańcuch który je łączy jest milczenie pana. Powtarzam więc jeszcze raz panu niech mi pan powie, gdzie pan był owej nocy i da na to słowo honoru, że to powie nie będzie kłamstwem, wówczas wrócę panu wol-

ność bez żadnych sprawdzań. Słowo pana mi wystarczy.

Uważałem, że sędzia Giroux awansował się trochę daleko. Jeżeli Jerzy Dambleuse był mordercą i to tak podłym jeszcze, zechce prawdopobnie otrzymać wolność za cenę uchybienia swojemu słowu honoru. Fałszywe świadectwo nie jest rzeczą ważną dla człowieka, który zabił cztery osoby w przeciągu trzech dni.

— Oskarżony zdawał się namyślać chwilę poczem podniósł głowę i wyrzekł stanowczym głosem:

— Nie panie sędzio nie wskażę panu moich alibi!

— Czyżby pan miał ich wogóle? — zapytał sędzia sarkastycznie.

— Tak! mam je — odpowiedział poważnie Jerzy Dambleuse.

— I raz jeszcze nie chce się pan uniewinnić. Odmawia pan wyjaśnień.

— Tak panie! odmawiam.

W tej chwili panna de Beaumont powstała nagle i rzuciwszy się ku oskarżonemu, zawołała:

— Mów, Jerzy, błagam cię, mów! Powiedz wszystko.

Jerzy Dambleuse pochylił głowę i nie odpowiadał. Panna de Beaumont zaś powtórzyła jeszcze z większą siłą:

— Powiedz wszystko Jerzy, powiedz, że nie ty zabiłeś pana de Limandux przez zazdrość, skoro wiedziałeś, że ciebie tylko kocham jednego. Po co więc miałbyś go zabijać? Tak po co? — zwróciła się do sędziego śledczego. — Mogłam pozwolić na pozorne zaręczyny z panem de Limandoux, ale Jerzy nie mógł nigdy wątpić we mnie. Jerzy powiedz, czy wątpiłeś we mnie?

Jerzy Dambleusem odpowiedział tym razem głosem spokojnym i czystym:

— Nie, Heleno! nie wątpiłem nigdy w ciebie.

— Widzi pan — podjęła młoda dziewczyna tryumfująco — widzi pan, panie sędzio, jakże można uwierzyć, żeby on był mordercą? Nikt nie zabija bez przyczyny, tylko szaleńcy mogą się tego dopuścić.

— Nagła interwencya panny de Beaumont wprowadziła w zły humor sędziego. Odpowiedział sucho:

— Niekiedy i szaleńcy miewają swoje przyczyny, ale...

W tej chwili przerwał i spojrzał ze zdumieniem na oskarżonego. Jerzy Dambleuse przy ostatnich słowach sędziego zbladł jeszcze silniej i zadrżał całem ciałem. Nieopisany wyraz lęku przemknął się po jego twarzy, zdawało się, że upadnie. Skoczyłem, żeby go podtrzymać, ale już zdołał się opanować i ocierał czoło zroszone dużemi kroplami potu.

Jakiż to dramat rozgrywał się tutaj? Najdokładniejsze oskarżenia nie zdołały poruszyć dotąd oskarżonego, a tu niespodziewanie kilka słów wyrzeczonych przez sędziego, zdołało go wprowadzić w stan tak głębokiego wzruszenia.

— Czy chce pan, ażebyśmy przerwali badanie? — zapytał łagodniejszym głosem sędzia — jeżeli się pan czuje zmęczonym, to może pan wypocząć kilka minut.

— Nie — odpowiedział Jerzy Dambleuse — dziękuję panu.

Wówczas pan Giroux zwrócił się do panny de Beaumont:

— Poproszę zatem panią o opuszczenie pokoju. Pytania, które teraz zadam panu Dambleuse, są zanadto intimne, aby mogły być słyszane przez panią.

— Ale ja mogę słyszeć wszystko — odpowiedziała dumnie panna de Beaumont. — Wierzę w pana Dambleuse i on wierzy we mnie. Jestem pewna, że nie usłyszę nic, coby mogło wpłynąć na moje uczucie do niego.

— Więc pani koniecznie pragnie pozostać?

— Tak.

— Niechże tak będzie — odpowiedział sędzia, wyciągając z teki paczkę listów. — Chciałbym zadać panu kilka pytań, tyczących się tej korespondencyi.

Osgarżony obrzucił spojrzeniem listy i zawołał gwałtownie do panny de Beaumont:

— Heleno, wyjdź, błagam cię, wyjdź stąd! Co się ma stać, stanie się! Nie słuchaj! zaklinam cię na wszystko, nie słuchaj.

— Nie, Jerzy — odpowiedziała stanowczo panna de Beaumont — przyszłam tu, ażeby się dowiedzieć prawdy i dowiem się, choćbym ją miała życiem przypłacić.

Jerzy Dambleuse umilkł zgnębiony.

— Czy poznaje pan te listy i te fotografie? — zabrał głos pan Giroux.

— Tak — odpowiedział oskarżony. — Zdaje mi się, że je poznaję. Ale poproszę pana o powierzenie mi ich na parę sekund, bym mógł je sprawdzić.

Sędzia podał żądane papiery, które Jerzy Dambleuse prędko przerzucił i przepatrzył.

— Tak panie — rzekł, zwracając je sędziemu — poznaję te listy.

— Wszystkie?

— Wszystkie.

— Jedne są pisane do pana przez aktorkę pannę Żaklinę Desbois, drugie, to są pana odpowiedzi.

— Tak.

— Czy nie wie pan, jakim sposobem dostały się do biurka pana senatora Poivier?

— Jakto! — zawołał Jerzy Dambleuse z nieudanem zdziwieniem — te listy zostały znalezione w biurku pana Poivier.

— Tak, znalazłem je sam po wykryciu zbrodni.

— A więc oświadczam, że tego nie rozumiem.

— Ja tem mniej — odpowiedział pan sędzia Giroux tonem zlekka facecyjnym — jednak za pana pomocą może zrozumię je dokładniej. Postępujmy konsekwentnie. Jakim sposobem listy pana i panny Desbois mogły się znaleźć w jednej paczce?

— Oddałem niegdyś pannie Desbois jej własne listy, pisane do mnie. Ona zaś schowała moje. Tym sposobem więc przypuszczam połączone zostały.

— Ah! — rzekł sędzia — pan zwróciłeś swoje listy pannie Desbois i kiedyż to było mój panie?

— Trzy miesiące temu mniejwięcej.

— Trzy miesiące temu? — powtórzył z zadowoleniem pan Giroux. — A czy to nie przed miesiącem przestał pan bywać w willi Bzów?

— Tak.

— Czy wyrzekł pan się tego dobrowolnie?

— Nie, było to na życzenie pana Poivier.

— Czy pan Poivier umotywował to żądanie?

— Nie.

— To dziwne! Takiego człowieka jak pan, wyproszono z domu bez podania powodów?

— Tak.

— Panie Dambleuse, ja w to nie wierzę.

— I ja również! — zawołała panna de Beaumont. — I ja również nie wierzę w to Jerzy — dodała, zwracając się wprost do oskarżonego. — Mój dziadek nie należał do ludzi, działających bez głębszego zastanowienia, nie należał do ludzi, mogących ukrywać powody jakichkolwiek swoich czynów, to jest niemożliwem, aby ci nie dał wyjaśnień jakichś. Proszę cię więc Jerzy, wyznaj wszystko, zrób to dla mnie i dla siebie.

Ale Jerzy Dambleusse milczał.

— Niech pan się strzeże — przemówił poważnie sędzia — pański system doprowadzi pana do nieszczęścia. Pan jest posiadaczem wielu tajemnic panie Dambleuse. Obecność tych listów w biurku senatora Poivier mogła dostarczyć dostatecznego wyjaśnienia dramatu, który się rozegrał tutaj. Pani zapewne nie wiedziała nic o tych listach — zwrócił się do panny de Beaumont.

— Nie, panie sędzio!

— Tak też sądziłem. Pan Poivier nie mógł pozwolić na wmieszanie pani osoby w miłostki pana Jerzego Dambleuse i aktorki Desbois. I oto zarzuty ciążące na panu wyjaśniają się. Pan chciał odebrać swoje listy, lękając się, by się o nich nie dowiedziała panna de Beaumont. Pan Poivier odmówił ich panu, więc go pan zamordował.

— Zapomocą brzytwy? — wtrącił ironicznie Jerzy Dambleuse. — Przyniosłem ze sobą brzytwę, browning i rewolwer niemiecki. Zabrałem cały arsenał broni, aby zamordować starca. Ależ panie! to wprost idyotyczne. Człowiek taki jak ja, silny i odważny, przychodzi w nocy z kieszeniami pełnemi broni w celu mordu, a przecież ja go mogłem zabić jednem uderzeniem ręki. Przed chwilą oburzał się pan na mój system, cóż ja mam myśleć o pańskim? Według pana przekonania zamordowałem cztery osoby, w tem jedną kobietę, aby odebrać paczkę listów, takich listów, które odbierane i wysyłane bywają codziennie przez setki młodych ludzi. Takie listy nie są warte kilku zbrodni, panie sędzio!

— Tak przyznaję — zaśmiał ironicznie pan Giroux — nie mają one tej wartości dla kogoś, co rozumuje, ale ludzie podlegający zazdrości nie rozumują i do takich pan właśnie należy.

— Odpowiedziałem już, a panna de Beaumont potwierdziła, że nie miałem powodu być zazdrosnym, wierzyłem w nią, tak jak ona wierzyła we mnie.

— I chciałabym zachować ci tę wiarę Jerzy, bo biedna moja miłość doznała śmiertelnego ciosu — wyrzekła panna de Beaumont. — Ostatni twój list pisany był trzy miesiące temu, w tym czasie kochałeś mnie już, a przecież korespondowałeś z inną, ale nie o to teraz chodzi. Przemów nareszcie Jerzy! Znaleziono twój rewolwer u pana de Limandoux. Powiedz, powiedz nareszcie, gdzie byłeś owej nocy.

— Heleno — odpowiedział poważnie Jerzy — należy wybierać, albo zawierz mi w zupełności, albo pozostaw mnie mojemu losowi. Ale nie wątp, nie rób zastrzeżeń. Przysięgam ci, że jestem niewinnym. Co mnie obchodzić mogą oskarżenia i poszlaki! Co mnie obchodzić mogą...

W tej samej chwili drzwi gabinetu otworzyły się z trzaskiem. Ajent Markas wpadł, niosąc w rękach worek duży.

— Panie sędzio! — zawołał zdyszanym głosem — oto, co znalazłem w klombie ogrodu. — Szybkim ruchem otworzył worek i ujrzeliśmy wszyscy pełni zgrozy i zdumienia drobne zwłoki kilkoletniej zamordowanej dziewczynki.

— Ona! ona tutaj! — zawołał Jerzy Dambleuse i zemdlony z głuchym łoskotem upadł na podłogę.

Uczony.

— Panie, tam jest ktoś, kto chce pana widzieć.

— Wynoś się Kazimierzu!

— Pan wie przecież...

— Wiem doskonale, mój drogi, że ci dałem rozkaz nieprzyjmowania nikogo.

— Kiedy proszę pana, ten pan powiedział, że zdemoluje cały dom, jeśli go nie wpuszczę.

— On to powiedział?

— Oczywiście, proszę pana, oczywiście! O! zaczyna już! Pan Dalton wyszedł wcześnie, a jego służący wyszedł.

— A ty może jesteś za mały, żeby go wyrzucić za drzwi?

— Pewnie — odpowiedział Kazimierz flegmatycznie.

W ten to sposób zostałem nieprzyjemnie przebudzony pewnego dnia. Która to mogła być godzina, ósma zaledwie, przez mojego służącego Kazimierza. Pomimo jednak zmęczenia i złego humoru musiałem wstać i zobaczyć dziwacznego osobnika, który o tak wczesnej godzinie nachodził moje mieszkanie w intencyach tak wojowniczych. Dzień przedtem powróciliśmy z Daltonem, wyczerpani, przygnębieni nerwowo.

Bezustanny stan niepokoju, podniecenia gorączkowego i niebezpieczeństwa rozstroił nas już zupełnie. Nie mówiliśmy już nawet o sprawie, zajmującej nas tak bardzo, odpędzając od siebie wszelkie nieprzyjemne wspomnienia i rozczarowania, w ciągłej nadziei nowej jakiejś decydującej wiadomości lub odkrycia.

Dalton zmusił mnie tego dnia do przepędzenia nocy w swojem mieszkaniu. Obok jego pokoju znajdował się mały gabinet, gdzie mi postawiono zaimprowizowane łóżko, dostatecznie wygodne dla człowieka tak zahartowanego na niewygody życiowe, jakim byłem.

Ubierałem się teraz pospiesznie.

Umysł mój trochę już wypoczęty, normalnie funkcyonować zaczynał.

Przed oczami mojemi przesuwała się piękna twarz Heleny de Beaumont. Dzwonił mi jeszcze w uszach ostatni okrzyk zgrozy Jerzego Dambleuse. Ale czego mógł chcieć odemnie ten ranny, bezwzględny gość? A właściwie czego on mógł chcieć od Daltona?

Poważny, pewny swojej woli zainstalowałem się w gabinecie mojego przyjaciela. Rozłożyłem na biurku kilka książek i trochę papierów i zapaliłem papierosa. Starałem się przedewszystkiem przybrać wyraz twarzy obojętny i zimny, jak człowiek bardzo zajęty, przyjmujący z konieczności, niepożądanego gościa.

Na znak dany przeze mnie, służący mój otworzył drzwi i przepuścił przed siebie, człowieka starego, nadzwyczaj chudego, o ruchach nerwowych i żywych, który raczej wbiegł niż wszedł do pokoju.

(Ciąg dalszy nastąpi).

LEON GOZLAN.

Historya o stu trzydziestu kobietach

3)

– Majstrze Gandolf, może chcesz fajki?

– Majstrze Gandolf, może chcesz tytoniu?

– Majstrze Gandolf, nie wstawaj, ja ci podam ognia.

– Jeżeli masz ochotę na kieliszek wódki?

Ze wszystkich stron każdy gotów był na usługi opowiadacza.

– Gdybym wam powiedział, – mówił on dalej – że pojmowałem, co się ze mną od niejakiego czasu działo, tobym skłamał wierutnie; boć to nie żarty takie nagłe przejście z bryku, który wracał z Indyi, na trzymasztowy okręt, który tam płynął właśnie, być wyrzuconym, jak korek z butelki szampańskiego wina, z francuskiego na angielski statek, leżeć pół godziny przeszło przytłoczonym pod stosem żagli, lin i drągów, słyszeć to, co ja słyszałem i z tak bliska przypatrywać się już śmierci. Pozostało mi jakieś odurzenie czy oczadzenie, jak gdybym wypił całą manierkę wódki odrazu, a jednak nie straciłem całej przytomności umysłu i ciągle powtarzałem sobie tę przestrogę: Nie zapomnij Gandolfie, że nie umiesz mówić pod angielsku, bo inaczej źle będzie z tobą. I dobrze mi z tem było, bo po wypiciu nie wiem wielu filiżanek rosołu i kieliszków rumu (bo trzeba wyznać na pochwałę tych piekielnych Anglików, że to są na morzu bardzo litościwi ludzie dla rozbitków, nie tak jak ci Amerykanie, ktorzy są najskąpszym i najegoistyczniejszym gatunkiem z pomiędzy wszystkich marynarzy), porucznik Thompson w przytomności kapitana Forstera i ośmiu czy dziesięciu oficerów zadał mi kilkanaście pytań, tak jakby mnie chciał z katechizmu egzaminować. Notabene wszystko po francusku.

– Gdzie płynęliście?

– Do Brest, panie poruczniku.

– Skąd?

– Z Chandernagor, panie poruczniku.

– Jak się nazywał wasz okręt?

Tu otarłem oczy, bo zaszły mi łzami.

– Piękna Arsenja, panie poruczniku.

– Czy wieźliście jaki towar?

– Żadnego.

– Wiele was było osady?

– Siedemnastu, panie poruczniku.

– Jak się nazywasz?

– Jan Kanty Gandolf, tak jak mój ojciec, panie poruczniku.

– Czyś nie był ranionym w tem nagłem przerzuceniu z okrętu na okręt?

– Nie, panie poruczniku.

– Więc cię nic nie boli?

– Żołądek, bo mi się jeść chce, panie poruczniku.

Ta odpowiedź położyła koniec tym wszystkim nieznośnym zapytywaniom poczciwego porucznika Tompsona, który dał znać jakiemuś oficerowi, żeby mi zastawiono śniadanie.

Poczem zapytał się mnie jeszcze.

– Czy wiesz, gdzie płyniemy?

– Nie wiem, panie poruczniku.

– Płyniemy do Nowej Holandyi.

– Wszystko mi jedno, panie poruczniku.

– Czy posiadasz inne jeszcze rzemiosło oprócz marynarskiego?

– Jestem cieślą.

– Chcesz się zaciągnąć do naszej osady?

– Zrobię wszystko, co tylko nie będzie przeciw Francyi.

– Poczciwy z ciebie człowiek — odezwał się ktoś za mną.

Odwracam się, był to kapitan Forster, komendant Niagary. – Tak, poczciwy z ciebie człowiek – powtórzył jeszcze i dodał, odwracając się do pierwszego porucznika pana Grant: trzeba mieć o nim staranie.

Gdyby który ze świętych chciał kiedy zejść pomiędzy ludzi, nie mógłby nigdy przybrać szanowniejszej twarzy, niż twarz kapitana Forstera, a gdyby szatan chciał towarzyszyć świętemu w tej wycieczce, nie mógłby wynaleźć dla siebie więcej odpychającej fizyognomii, jak pierwszego porucznika. Kapitan Forster miał głowę otoczoną lekkiemi i rzadkiemi siwemi włosami, które, kiedy szedł, rozwijały się w drobne pukielki koło jego czoła, zdając mu się mówić: Dzień dobry kapitanie, dzień dobry. Pan Grant miał włosy rude, twarde i pod górę wszystkie zaczesane. Wysoki i smukły jak topola, kapitan zawsze trzymał głowę do góry, a kiedy spoglądał na kogo, spojrzenie jego rozradowywało serce, jego oczy były niebieskie, bardzo jasne, przebijał w nich wyraz dobroci, ale i dumy zarazem, porucznik zaś miał wejrzenie dzikie i ponure; kapitan Forster mówiąc do kogo, spoglądał mu oko w oko. porucznik Grant z podełba tylko patrzał na ludzi.

Kiedy dobrze podpiłem i podjadłem, powiedziałem sam do siebie: No, przyjacielu Gandolfie, nie możesz taić przed sobą, że na tym okręcie, który, jeśli stał się przyczyną twojej zguby, to cię ocalił zato, zajdą wypadki, co nie dla każdego będą zabawną niespodzianką. Czyż nie trzeba uprzedzić o nich tego godnego kapitana, który powiedział do ciebie, uderzając cię po ramieniu: poczciwy z ciebie człowiek. Sumienie mi to nakazywało, ale nienawiść wrodzona przeciw Anglikom odradzała. Bo jednak przez pięć lat byłem w niewoli angielskiej, przez pięć lat na pontonach, śpiąc w zgniłej wodzie, żywiąc się psami, myszami i to jeszcze nie zawsze można było dostać tej żywności, karmiąc się chlebem, pełnym robactwa i trzy razy siekany rózgami do krwi. Nie, nie powiem – rzekłem sam do siebie, przytłumiając głos sumienia – niech się Anglicy rozprawią między sobą, niech się pozabijają, im mniej ich będzie, tem będzie lepiej na świecie. Chociaż nie byłem zupełnie jeszcze zdecydowany; kapitan Forster powiedział mi: poczciwy z ciebie człowiek – po co u licha Anglik mówi mi takie rzeczy... Zresztą – mówiłem dalej sam do siebie – przecież nie pomordują się wszyscy odrazu, a naprzód nie wiem, o co rzecz chodzi. Pewnie zamiarem jest spiskowych prosić o co, a jeżeli to, o co proszą, będą mieli sobie udzielone, to całe powstanie spełznie na niczem. Wszystko pójdzie jak najlepiej i sumienie nie przyjdzie szczypać mnie za ucho, mówiąc: Gandolfie, niegodnie sobie postąpiłeś, żeś nie ostrzegł kapitana. A więc niema wątpliwości, że cała ta burza przejdzie bez niczyjej szkody. Tem bardziej upewniałem się w tem zdaniu, że caluteńka osada Niagary wydawała mi się spokojną, jak stado baranków. Chodzono tu i ówdzie, pracowano, rozmawiano i to po cichu, bo na angielskich okrętach nie wolno hałasować. A cóż za porządek, co za karność, jaka czystość na okręcie; bo ci szelmy Anglicy są niezrównani w czyszczeniu mosiądzu, polerowaniu żelaza i skór. Wszystko tam świeci się od porządku. Możnaby śmietanę nalać na pomost i jeść łyżką z ziemi. Mówiłem wam więc, że spokojne zachowanie się całej osady nie rokowało nic niebezpiecznego ani dla kapitana, ani dla innych szlif okrętowych, a ja w moich morskich podróżach widziałem już tyle buntów spełzłych na niczem, żem zupełnie był spokojny.

Ta nadzwyczajna spokojność jednak do tego dochodziła stopnia, że aż wreszcie zaczęła mnie samemu nastręczać obawy; za bardzo mi się wydawali wesołymi.

Wielu z nich nosiło wstążki zielone lub niebieskie przy spencerach. Po co te wstążki? I pokazywali je sobie jeden drugiemu, mówiąc: I ty należysz i ja należę, wszyscy należymy. Czy to był znak? A jeżeli to był znak, więc spisek nie rozwiał się wcale? Ale jakiż powód tego spisku? tego spisku, w którym szło, jeżeli dobrze pamiętam, o porwanie stu trzydziestu... stu trzydziestu, czego? Jakiż towar tak wielkiej wartości mógł się znajdować na Niagarze? Ale kogóż się o to zapytać? czyżby mi odpowiedziano? Tem zapytaniem wzbudziłbym tylko podejrzenie majtków. Dlaczego? A potem kto to był ta Prozerpina? ta Karolna Prior? dwie kobiety, zapewne ich kochanki, ich kochanki, które wsiadły z nimi na okręt potajemnie i przebrane, ale to się nieraz żonom majtków zdarza. Ale cóż to za styczność mogło mieć z powstaniem? 120 ludzi osady okrętowej, którzy dla błahych przyczyn na surową wystawiają się odpowiedzialność? A nareszcie – rzekłem sam do siebie: ja może się mylę, upadając jak strzała na pomost Niagary, musiałem uderzyć głową o drewnianą posadzkę. Zresztą to wielkie wstrząśnienie, którego doznałem, wszystko to musiało mi trochę zamącić w mózgu i śniło mi się tylko o tych wszystkich okropnościach. Już zaczynałem wierzyć temu, kiedy nagle spostrzegłem pod przednim masztem tych dwóch majtków, którzy zrazu zanieśli mnie do porucznika Thompsona. Rozmawiali oni poufnie z jakimś olbrzymim mulatem i młodym majtkiem, którego nazywali Preston. Więc poznałem, że to nie był sen wcale. Przedemną stali wówczas wszyscy czterej naczelnicy: Ascott, Carter, mulat Samuel i Irlandczyk Preston, a można było tego ostatniego łatwo poznać po jego dyalekcie, bo widzicie dzieci moje, Irlandczycy to gaskoni Anglii. Nie zrozumiecie nigdy ani połowy tego, co do was mówią. Nie mówią bowiem, tylko paplają, a zawsze będą trzy gesta na jeden wyraz, bo Irlandczyk jakby miał oko u każdego palca i dziesięć palców u ręki.

Teraz wam opiszę fizyognomie tych czterech łotrów, bo ciekawe rzeczywiście.

* * *

Ale pomimo wielkiego poszanowania, jakie mam dla prawdomówności majstra Gandolfa, a jakkolwiek wierny jego stenograf, wolę wypisać te portety z raportu lorda komisarza wysokiego sądu wojennego w Sidney, stolicy Australii, który mamy pod ręką drukowany w dziewiątym zeszycie „Asiatic-journal".

Obwiniony John Ascott jest wysokiego wzrostu, choć trochę niższy od Cartera. Twarz jego blada, ale tą ognistą bladością, która zdradza niepohamowane namiętności. Czoło jego jak u herkulesa, niskie, zwięzłe i twarde. Jak herkules nosi włos krótko obstrzyżone i kręcące się trochę, szyja krótka jak u byka, ramiona zaokrąglone, a piersi wzdęte jak pancerz. Jest więcej straszliwym niż pięknym. Jego oczy mają coś nieokreślonego, ale miłego zarazem, co przypomina wzrok lamparta, kolor ich niebieski, czasem wpadają w zielony odcień, nakrywając się długiemi rzęsami. Włosy jego koloru ciemno blond, jak u wszystkich ludzi rasy saksońskiej. Jego ręce krótkie i muskularne, nie zdolne zdać sobie sprawy z wagi przedmiotów, trudno bowiem, żeby cobądź w nich zaciężyło. Namiętność panująca w nim jest zazdrość, ale zazdrość posunięta aż do rozpaczy, aż do obłąkania. Ten namiętny i zazdrosny jego temperament już nieraz w złem go bardzo postawił położeniu i on może jest powodem straszliwego udziału, jaki Ascott miał w procesie kryminalnym, który teraz pod sądowe przychodzi rozstrzygnięcie.

Carter ma z Ascottem trochę podobieństwa, ale Carter jest Walijczyk, a więc cera jego nie tak blada, czoło wyższe i wydęte na wierzchu, a włosy ciemniejsze. Wyższy wzrostem od Ascotta, więcej ma jeszcze łatwości i giętkości w chodzie i w ruchach. Należy on do tej rasy pierwotnej mieszkańców Anglii, których rząd, jako zbyt niebezpiecznych dla siebie, stara się zużytkować na morzu. Żywość temperamentu nie dozwala im zostać na stałym lądzie, nigdy bowiem oni nie mogliby być ani dobrymi robotnikami, ani rolnikami pracowitymi. Trzeba dla ich niespokojnej natury ciągłego ruchu, niebezpieczeństw i walki. Zdałoby się, że na stałym lądzie nie starczy powietrza dla ich piersi szerokiej. Nieczuli na zimna biegunowe, obojętni na równikowe upały, silniejsi od febry indyjskich bagien, cierpliwi na dotkliwe kąsanie komarów w sawanach amerykańskich, spokojniejsi od ludzi północy, żywsi od synów południa, mając zawsze wyższość nad mieszkańcami stałego lądu, oni to zapewnili Anglii panowanie nad morzami. Tom Carter jest prawdziwym anglikiem, anglikiem silnym, posłusznym, cierpliwym na morzu; burzliwym, wyuzdanym i namiętnym na stałym lądzie; jedzącym wszystko, pijącym wszystko, kochającym wszystko i zabijającym siebie i drugich nawet po pijanemu.

Irlandczyk Preston przeciwnie jest typem irlandczyka w całem znaczeniu tego wyrazu. Rysy jego delikatne i szlachetne, włosy miękkie i czarne, czoło wielkie, w którem mało rozsądku, ale wiele fantazyi zato; broda okrągła i błyszcząca, nos wielki i wpół orli, zęby białe i równe, jak klawisze fortepianu, szybki i zręczny, nieustannie w ruchu. Widocznem było, że Preston niedawno dopiero musiał się zaciągnąć na majtka, często mylił się w służbie okrętowej i zasypiał podczas warty; ale wynagradzał te niedokładności wielkim dowcipem i wesołością, oraz nieustraszoną odwagą w niebezpieczeństwie; widziano go podczas najgwałtowniejszej burzy, opasującego się sznurem pod biodra i rzucającego się w rozhukane morze pomiędzy rekinów dla ratowania tonących; szlachetny, rozrzutny nietylko w słowach ale i w uczynku, na każdym bowiem przystanku wydawał wiele pieniędzy. Te nadzwyczajne wydatki nieraz rozciekawiały jego towarzyszy, którzy zapytywali się sami siebie, dlaczego Preston, wydający się tak majętnym, narażał się samowolnie na trudy i niebezpieczeństwa tego ciężkiego zawodu. (C. d. n.)

Kronika tygodniowa

Niedźwiedź się nie spisał!...

Jeszcze w dniu 1. lutego, spiesząc na Redutę Prasy, byliśmy przekonani, że nazajutrz rozwali swą budę i wybierze się na wiosenną przechadzkę mając na sobie tak kosztowne, a przecież bardzo tanie futro, tymczasem, wracając rano 2. lutego do domu, stwierdziliśmy na własne oczy, że „z dachu ciecze, zima zatem się przewlecze“.

Co było powodem tej nagłej zmiany, tego dotąd nie wiemy, choć jeden z zawodowych meteorologów utrzymuje, że było to następstwem zmiany kierunku wiatru, a Weronika, iż jej to zawdzięczać należy, gdyż dzień przedtem wyliczyła dwunastu łysków i to z głowami tak nieprzyzwoicie gołemi, że mróz choćby nawet najbardziej siarczysty, musiał wziąć w łeb. Ale radość, jaką wywołało chwilowe ocieplenie się powietrza, mroziła nadzieja powrotu zimy, gdyż niedźwiedzie, „cywilizacyą ludzką dotąd nie zepsuci“, jak powiada Mickiewicz w „Panu Tadeuszu“, kłamać nie umieją. I, niestety, już na drugi dzień zaczęło się znowu oziębiać, a w sobotę, 4. lutego, mieliśmy z powrotem mrozik kawalerski.

Kronikarzowi nie przypadły do gustu ani tłómaczenia owego meteorologa, choć rzekomo na naukowych podstawach oparte, ani Weroniki, jako głupie babskie przesądy, jego zdaniem chwilowe podniesienie się temperatury i kapanie z dachów ma się zawdzięczać jedynie Reducie Prasy, a właściwie niektórym kostyumom, jakie się uwijały po sali. Ponieważ w niebiesiech interesują się tem, co się dzieje na świecie, niezawodnie w nocy z dnia 1 na 2. lutego któryś z Świętych wyglądnął ciekawie przez okienko i wzrok swój skierował na Kraków, przedewszystkiem zaś na salę Starego Teatru, gdzie się właśnie odbywała Reduta, a ujrzawszy frawające wesoło motylki w kostyumach prawie rajskich, zdjęty litością, aby przypadkiem nie pomarzły, pospieszył co rychlej do aparatu regulującego temperaturę na ziemi i nastawił go na „ciepło“. I temu to właśnie mamy zawdzięczać ową odwilż, która trwała przez cały czwartek. Ponieważ na ten dzień przypadało święto Matki Boskiej, obchodzone w niebie uroczyście, choć zniesione przez Sejm warszawski, niebieski referent od pogody nie urzędował wcale, a do służby zjawił się dopiero w piątek rano. Ujrzawszy aparat nastawiony na „ciepło“, złapał się za głowę, pewny, że mu ktoś figla wypłatał i z powrotem skierował dźwignię na „zimno“.

— Teraz przecież luty!... — mówił do siebie — Kiedyż mam puszczać zimne wiatry, jeśli nie w lutym... Sami ludzie mówią przecież: „luty, szykuj buty!“

Sprawa się wyjaśniła, a jeśli *Kuryerek* o tem nic nie doniósł, to jedynie dlatego, że w niebie nie ma swego własnego korespondenta, a zachwalane przez niego niedawno przyrządy do porozumiewania się z duchami uległy zepsuciu.

Na Reducie Prasy miał natomiast swych sprawozdawców, mógł też pomieścić na swych łamach artykuł, poświęcony opisowi tualet i modnych tańców, a trzeba przyznać, że tak jedne, jak i drugie nie trąciły bynajmniej staroświecczyzną, lecz odpowiadały zupełnie postępowemu duchowi czasu. Jakiś tam przedpotopowy polonez, który niegdyś tańczyły mamuty, nim je potop wyniszczył, nawet kadryl, polka i inne zabytki średniowiecza skreślono zupełnie z porządku tańców, z wielkiej łaski pozostawiono jedynie walca dla tych, którzy tańczyć nie umieją, poza tem były same shimmy one-steepy, two steepy, foxtrotty i inne podobne łamańce, które tańcami są jedynie z nazwiska, a dlaczego budzą ogólny podziw, tego nie umiałby powiedzieć ten, kto się im oddaje z zamiłowaniem. Patrzący z boku na tańczących je, odnosi wrażenie, że są te osobniki, dotknięte chorobą św. Wita lub Walentego, lub że ich coś gryzie, a nie mogą się tego pozbyć, czyli, że raczej płakać nad ich losem, niż oklaskiwać ich konwulsyjne ruchy.

Zupełnie to samo powiedzieć można, a zatem i napisać o nowoczesnych kostyumach, oczywiście damskich, z których za najpiękniejsze uważa się te, których właściwie zupełnie niema. I tak naprzykład kostyum motylka (również dobrze może to być i aniołek...) składa się z szczelnie do ciałka przylegającego trykociku, tegoż same, co i ono koloru i skrzydełek. Jeden ze znawców kostyumologii wobec tego, gdy go jedna ze znajomych pań zapytywała, jaki wybrać kostyum na najbliższą redutę, aby był efektowny i niedrogi, doradził jej, by się wybrała za ptaszka, nie potrzebuje bowiem więcej nic, jak tylko przyprawić sobie... dzióbek i ogonek. Takie ptaszki, motylki i aniołki, robią wrażenie, jak gdyby wracały prosto z kąpieli i zapomniały się okryć prześcieradłem.

Dotąd w podobnych „kostyumach“ występowała wyłącznie płeć nadobna, obecnie przychodzi kolej i na brzydką, gdyż komitet, urządzający redutę „Riviera“, w dniu 9 lutego, na dochód najbiedniejszych dzielnicy piątej, to jest „kleparskich much“, zawiadamia, że, celem urozmaicenia zabawy dopuszczone będą, prócz zwykłych kostyumów i domin, oraz strojów balowych, także i wiosenne, jakich używa się na plaży na Rivierze. Ponieważ zaś, jak wiadomo powszechnie, stroje te lubią być bardzo prymitywne i niekompletne, dla płci brzydkiej składają się zaś przeważnie z wielkiego słomianego kapelusza i majteczek do kąpieli, wyobrażamy sobie, jaką furorę zrobi pojawienie się na sali balowej osobnika, w ten sposób odzianego, to jest właściwie nie odzianego wcale. Sala balowa musi też być należycie ogrzana, aby uchronić „kąpielowców“ od zaziębienia i zapadnięcia na grypę, srożącą się prawie w całej Europie. Jest to tak zwana popularnie „hiszpanka“, przed wojną nie znana, obecnie zaaklimatyzowana nie tylko na południu lecz i na północy.

Członków komitetu balowego, którzy wpadli na tak piękny pomysł, mogący się rzeczywiście przyczynić do urozmaicenia zabawy, wysłalibyśmy w dowód uznania za ich troskliwość o dobro najbiedniejszych, w podobnych kostyumach na ślizgawkę, co przyczyniłoby się niezawodnie do ożywienia na niej ruchu. Niedługo czekać, a spotkamy się z zawiadomieniem o balu, na którym można się jawić w takich strojach, jakich używali nasi praszczurowie, Adam i Ewa, podczas pobytu swego w raju. Tego rodzaju kostyum będzie rzeczywiście bardzo tani, lecz bale takie można będzie urządzać dopiero w lecie, gdy liści jest podostatkiem. Więcej już kłopotu i kosztów wymaga kostyum kąpielowy, choć bowiem kapelusz słomiany można łatwo wypożyczyć od którejś z przekupek ze Szczepańskiego Placu, druga jego część, płócienna lub trykotowa, kosztuje dziś co najmniej kilka tysięcy marek. Kronikarz posiadający z dawnych czasów tę właśnie część kąpielowego stroju, miał się wobec tego zamiar wybrać na ową „Rivierę“, zwłaszcza, że sam mieszka na Kleparzu i byłby rad zrobić coś dobrego byle tanim kosztem dla swych sąsiadów, ale Weronika zabroniła, wobec czego mógłby ten „kostyum“ sprzedać za przystępną cenę jakiemuś danserowi, chcącemu w lutym użyć przyjemności, jakich się szuka dopiero na wiosnę lub w lecie „na jasnym brzegu“.

Wyobrażamy sobie, jakie wrażenie zrobiłby na kimś z naszych ojców lub dziadów, którzy bawić się lubieli, współczesny bal, z swymi kostyumami i tańcami. Wydawałoby się im, że są w domu waryatów, lub... w łaźni parowej. A niech kto przypadkiem nie sądzi, że w ten sposób bawią się jedynie futuryści, którzy na świat patrzą się zupełnie inaczej, niż ogół i widzą to już dzisiąj, co będzie dopiero w przyszłości. Broń Boże!... Gorączka nowomodnej zabawy, bardziej zaraźliwa, niż hiszpanka lub tyfus plamisty, ogarnęła nawet ludzi, zupełnie realnie na życie się zapatrujących i żyjących teraźniejszością, to jest ładujących pieniądze we worek. Choć niejednemu lub niejednej kilka krzyżyków cięży już na grzbiecie, spieszy na gwałt do tancmistrza, aby się wyuczyć noworodnego kiwania się, będącego dziś surogatem przedwojennego tańca, a pozbawionego najzupełniej wszelkiego wdzięku, nawet takiego, jakiego można dopatrzeć się w wojennych tańcach środkowo-afrykańskich murzynów. Poprostu komiczne wrażenie robi na przypatrującym się przysadkowata, leciwa już niewiasta, w krótkiej nowomodnej sukni, kręcąca sie po sali w konwulsyjnych podrygach, a obok niej kiwający się na wszystkie strony, jak gdyby popsuły mu się zawiasy, młodzian, wydmuchujący ze siebie resztki zmęczonego ducha. Gdyby jej, rok temu jeszcze, coś podobnego pokazano w kinie, byłaby oburzona, dziś nic sobie z tego nie robi, gdyż tak każe moda, odbierająca ludziom rozum i kwalifikująca ich nieraz pod opiekę prof. Piltza.

Bogu dzięki, że karnawał dobiega już ku końcowi, chociaż nie ulega kwestyi, że epidemia tańca przeciągnie się i na Wielki Post, to jest pod opiekę śledzia. Taką zabawą, z jakiemi spotykamy się obecnie, można być naprawdę zmęczonym.

I dziś dopiero patrząc na to wszystko, lub czytając o tem, widzimy różnicę między obecną zabawą, a dawniejszą i dochodzimy do wniosku, że pozedwojenne zabawy były w całem tego słowa znaczeniu zabawami, a powojenne są jedynie ich karykaturą. Ale czasy się zmieniają, a z nimi i ludzie, młode pokolenie spogląda z przekąsem i politowaniem na nas starych zacofańców, nie uznających wdzięku two steepa lub foxtrotta.

Czas jednak dać spokój karnawałowi i, choć to nie odpowiednia pora, poświęcić kilka słów żałosnego wspomnienia nieszczęsnej Aidzie, czworonożnej wywiadowczyni policyjnej, której zejście z tego świata, prawie tragiczne, byłoby przeszło może bez echa, gdyby nie sympatyczny nekrolog, zamieszczony w „Kuryerku“. Opuściła tę niewdzięczną ziemię nie dobrowolnie, żywot jej skróciła kula z rewolweru policyjnego, aby ją uwolnić od cierpień, będących następstwem nieuleczalnego raka. Było to cierpienie fizyczne, podobno bardzo bolesne, gdyż, jak twierdzą ci, którzy ją znali, wyła często i bardzo rzewnie, niewątpliwie jednak towarzyszyły im i moralne, że mordercy Zahnów, Sterna i td. chodzą dotąd bezkarnie, a ona na trop ich wpaść nie może. Po jej stracie płaczą najbardziej krakowscy apasze, obawiający się zupełnie słusznie, że jej następca lub następczyni mogą być mniej wyrozumiałymi na słabości ludzkie, jak ona, która zbyt wiele krwi im nie psuła i strachu nie napędzała, odznaczając się dziwnemi zaletami serca i umysłu. Celem uczczenia jej pamięci urządzili też piknik w ściśle zamkniętem kółku. Bawiono się ochoczo do rana, wspominając z żalem poczciwą Aidę, poczem, gdy świtać zaczynało, rozeszło się towarzystwo „do pracy“, która w tej właśnie porze, gdy ludzie śpią najtwardszym snem, najlepiej popłaca.

Aida nie miała na świecie szczęścia. Dola człowieka i psa, jego wiernego towarzysza, są bardzo do siebie podobne. Za życia miesza się ich z błotem, lub przechodzi nad ich niezaprzeczonemi zasługami milcząco do porządku dziennego, po śmierci dopiero przypominając sobie, że byli coś warci. Ten los spotkał i Aidę, którą w wspomnieniu pozgonnem wychwala ten sam *Kuryerek*, zarzucający jej nie tak jeszcze dawno zupełną nieudolność i niedorośnięcie do pełnienia przyjętych na się obowiązków. Narzekają ludzie na „psią dolę“, obecnie wyją i psy, że ludzka staje się i ich udziałem.

Większy kłopot mieliśmy natomiast z dniem 2. lutego, to jest uroczystością Matki Boskiej Gromnicznej który to dzień nie został zaliczony w poczet świąt, uznanych przez Sejm warszawski. Święto to obchodzone było w Polsce zawsze bardzo uroczyście, jako ostatni dzień kolend, szopek i „tańczących pączków“, których w dniu tym, zwłaszcza w starym Krakowie, nigdzie nie brakło. Z świętem tem tak się zżyliśmy, że trudno sobie będzie wyobrazić, iż ma to być na przyszłość dzień powszedni. Już tego roku część sklepów była w dniu tym otwarta, w niektórych knajpach sprzedawano alkohol bez ograniczeń, wszędzie zaś kłócono się o to, święto, czy nie święto. Powtórzyło się zupełnie to samo, co swojego czasu z uroczystością św. Michała w Podgórzu, po aneksyi tego miasta przez Kraków. Święty Michał z woli i zarządzenia byłego c. k. austryackiego rządu patronował Podgórzanom od lat szeregu, jako należącym do Galicyi, gdy natomiast sąsiedni Kraków obchodził uroczystość swojego Patrona w dniu 8 maja. Gdy Podgórze z Krakowem utworzyło jedną całość, Podgórzanie znaleźli się w kłopocie, nie wiedzieli bowiem kto się odtąd będzie nimi opiekować, św. Michał czy Stanisław. I gdy nadszedł pierwszy raz pod rządami krakowskimi dzień imienin św. Michała, jedni z mieszkańców, wierni tradycyom, pragnęli go obchodzić, drudzy, uważający się już za Wielkokrakowian, chwytali się pracy codziennej, w urzędach i warsztatach dzień cały spędzono na roztrząsaniu kwestyi, czy pracować, czy próżnować, a niewiele brakło, aby przyszło na tem tle do bratobójczej walki domowej między zwolennikami samodzielności Podgórza, a sympatykami połączenia z Krakowem. Niebezpieczeństwo zażegnano w ten sposób, że pozwolono święcić tak dzień 8 maja, jak i 29 września.

W sprawie tej, czy dzień Matki Boskiej Gromnicznej jest świętem, postanowiono zasięgnąć opinii teologów, a ponieważ najsławniejszym z nich jest obecnie na Kraków i okolicę „prorok“ Kasina, rezydujący na Podgórzu, u niego zasięgnięto języka. Odpowiedział, że to przechodzi jego kompetencyę, on bowiem jest specyalistą jedynie od powtórnego chrztu, święta zaś, jako nic wspólnego z nim nie mające, nic go nie obchodzą.

Na tym punkcie czy dzień drugiego lutego ma być uważany za święto, czy też nie, długo jeszcze będą się ścierać zdania, ostatecznie zwycięży opinia, że należy go uznać za święto, dziś bowiem dąży się do tego, aby jak najprędzej pracować, by przypadkiem zbyt nie nadszarpać swych sił i narazić szwank spowodu przepracowania cennego zdrowia, którego naprawa tak dziś wiele kosztuje. Starzy będą święcić ten dzień dla tradycyi, młode pokolenie, ponieważ zdrowiej jest próżnować, niż pracować.

Jak dotąd, udało się kronikarzowi szczęśliwie dotrzymać postanowienia, że w czasie karnawałowym nie chwyci się polityki, aby sobie i Czytelnikom nie psuć niepotrzebnie zdrowia i humoru. Czy dotrwa do samego Popielca, to zobaczymy w przyszłości, tymczasem niech się sytuacya układa sama, bez naszego współudziału. Z tego powodu postarał się też kronikarz, aby konferencya w Genui odłożoną została na czas pokarnawałowy i odbyła się pod znakiem śledzia, nie pączka.

wienie pułkownika Wiktora na dotychczasowem stanowisko. W czasie po pokoju brzeskim jako jenerał austryacki w Piotrkowie zajął się gorliwie i z narażeniem własnej osoby dolą prześladowanych legionistów, których setki uratował. Po przewrocie w r. 1918 w nader trudnych okolicznościach politycznych wytrwał na swem narodowem stanowisku. W uznaniu położonych zasług powołano go do Warszawy celem zorganizowania departamentu personalnego w pierwszej chwili tworzenia się armii polskiej. Następnie objął stanowisko inspektora technicznego frontów. Objazdy na kresy podcięły jego zdrowie, chcąc jednak nadal służyć Ojczyźnie, wybrał sobie stanowisko skromniejsze szefa budownictwa wojskowego w Krakowie. Przeniesiony w tym samym charakterze do Lublina, zyskał sobie zaufanie i miłość podwładnych. Ciężka słabość zmusiła go do przejścia na emeryturę, przyczem mianowany został jenerałem porucznikiem. Osiadł w Krakowie, gdzie w dniu 3 lutego b. r. życia dokonał, pozostawiając po sobie szczery żal i pamięć dobrego obywatela patryoty.





Reforma teatrów lwowskich: Dyrektor Ludwik Czarnowski przy pracy.

Reforma teatrów lwowskich

Teatr lwowski, skupiający od czasu swego założenia dramat, operę i operetkę, nie mógł się nigdy rozwinąć do pełnego i samodzielnego życia. Trudno go było utrzymać na prawdziwej wyżynie artystycznej i nadać mu jednolity kierunek. Prócz krótkiego okresu za czasów Dyrekcyi Pawlikowskiego, nie doszedł nigdy do rozkwitu i nie osiągał pełni swego rozwoju. S rzeczne, kontrastowo różne rodzaje sztuk, wystawiane bez żadnego obmyślanego planu, doprowadzały do nieustannego chaosu, a nadmierne kultywowanie operetki obniżyło jego poziom i zepchnęło go do rzędu przybytków lekkiej muzy. W takim ubolewania godnym stanie pozostawił teatr lwowski po długiem swem królowaniu dyrektor Ludwik Heller, a wybuch wojny dokonał zupełnej jego ruiny.

Słaba wegetacya teatru lwowskiego w okresie wielkiej wojny, nieustanne zmiany i przerwy w regularnem jego życiu doprowadziły do całkowitego zniszczenia dobytku kulturalnego tylu lat pracy i spowodowały zepsucie smaku publiczności. Gdy w roku 1918 objął kierownictwo dyrektor Roman Żelazowski, musiał walczyć z ogromnemi trudnościami, przełamywać opór zdeprawowanej publiczności i wykolejonego cygańskiem życiem zespołu artystów. Dlatego też, mimo ogromnych swych zdolności, mimo całej swej wiedzy i wytężonych wysiłków, nie udało mu się naprawić zaniedbanych stosunków i podźwignąć teatr z upadku.

Nie zdołał również wyjść z błędnego koła jego następca dyrektor Michał Tarasiewicz, wybitny aktor i człowiek dużej inteligencyi, ale zbyt miękki i ustępliwy. Tymczasem teatr domagał się człowieka silnej i sprężystej ręki, któryby mocno chwycił ster i pokierował błędny statek na właściwą drogę.

Człowiekiem tym okazał się dopiero nowy dyrektor Ludwik Czarnowski. Wybitny artysta, zasłużony jako twórca krakowskiego teatru „Bagatela", energiczny i sprężysty, o dużej kulturze artystycznej i niepowszednich zdolnościach organizacyjnych, zoryentował się szybko w smutnych stosunkach, jakie zastał i przystąpił do działania.

W pierwszej linii rozciął dyrektor Czarnowski ów gordyjski węzeł, który pętał dotąd swobodę pracy i wyeliminował z gmachu Teatru Wielkiego kolidujące z poważnym programem sztuki lekkiego typu, a w pierwszym rzędzie farsę i operetkę. Spotkał się początkowo z niedowierzaniem, a nawet z ostrą krytyką. Zwycięsko jednak pokonał wszystkie trudności i wyszedł z kłopotliwego położenia obronną ręką. Farsa znalazła swój przybytek w sali „Domu Katolickiego". Nowoutworzony t. zw. „Teatr Mały" odpowiedział w zupełności swoim zadaniom. Położony w dzielnicy uboższych sfer, stał się placówką kultury polskiej wśród szerokich warstw drobnego mieszczaństwa i robotników, a zarazem szeroko otworzył swe podwoje inteligencyi, która znajdując się w opłakanych stosunkach materyalnych, nie mogła sobie pozwolić na żadną rozrywkę intelektualną.

Operetkę przeniósł dyr. Czarnowski do gmachu dawnego „Colosseum". Pozyskanie tej widowni, która służyła dotąd międzynarodowemu żargonowi i krzewiła wśród sfer nieinteligentnych kult dla kuglarstwa i cyrków, stało się poważną zdobyczą i prawdziwie obywatelskim czynem. W gmachu tym, położonym w dzielnicy robotniczej, a przedewszystkiem żydowskiej, rozbrzmiała odtąd mowa polska, a jakkolwiek lekka Muza nie może szerzyć prawdziwej i poważnej kultury, spełnia jednak swe zadanie, paraliżując w własnym, skromnym zakresie zapędy obcego ducha i obcej mowy. Teatr „Nowości", większy o 60 miejsc od Teatru Wielkiego ściąga codziennie liczne rzesze publiczności z wszystkich sfer miasta, pobudzając obojętne dotąd masy do ukochania teatru i mowy polskiej.

Wszystkie teatry od chwili nowej organizacyi rozpoczęły pełne, intensywne życie. Teatr Wielki posiada swój własny program a kierownictwo stara się o nadanie mu artystycznej linii. Dobór sztuk,



Reforma teatrów lwowskich: Wiceprezydent dr. Chlamtacz, przewodniczący Komisyi Teatralnej.

granych w ostatnim kwartale, świadczy nader pochlebnie o zamiarach i wysiłkach Dyrekcyi. Zespół artystów jest doskonały. Zaangażowano wiele nowych, pierwszorzędnych sił. Niektórzy artyści mają już ustaloną sławę, inni zdobywają złote ostrogi. Wszędzie widać pracę, ruch, tryskającą energię.

Ogromne zasługi około organizacyi trzech teatrów położył przewodniczący Komisyi teatralnej, wiceprezydent miasta dr. Chlamtacz. Jest to człowiek dużej kultury i wiedzy, zapalony entuzyasta na punkcie teatru. Staraniom i zabiegom jego, czynionym niemal na każdym kroku, zawdzięcza teatr lwowski niezwykle wiele, a ukochanie sztuki skłania go do poświęcenia czasu i zdrowia dla podźwignięcia Teatru lwowskiego na wyżyny europejskie. Jeneralnym sekretarzem wszystkich trzech teatrów jest znany poeta i literat Artur Schröder.

W nowej pracy organizacyjnej idzie również na rękę kierownictwu teatru, Rada Miejska, która okazała dotąd zrozumienie trudnych spraw teatralnych i starała się zawsze usunąć przeszkody.

Miarą wielkiego powodzenia, jakiem cieszą się teatry lwowskie wśród szerokich sfer społeczeństwa, jest codzienna frekwencya publiczności we wszyst-



Reforma teatrów lwowskich: Scena Teatru „Nowości" podczas trzeciego aktu „Słowika hiszpańskiego" (Pp. Miłowska, Kuligowski, Tatrzański).

kich widowniach. Publiczność kocha teatry, rozumie ich cele i zadania i popiera je wszystkiemi siłami, pragnąc, aby Lwów, największe po Warszawie miasto w Polsce, stanęło godnie obok stolicy.

Wszystkie teatry są dopiero w zawiązku. Potrzeba dużo zrozumienia, poparcia i współpracy, aby



Z wędrówek ks. Walii po Indyach: Ks. Walii wraz z swym orszakiem po ubiciu swego „pierwszego tygrysa".

doprowadzić je do pełnego rozkwitu i zapewnić im samodzielny, bezpieczny byt. Zależy to w pierwszym rzędzie od władz, które poparciem swojem winny dopomódz do stworzenia z nich prawdziwych przybytków sztuki.

Teatry lwowskie stanowią bardzo ważną placówkę narodową na kresach. W codziennem wartkiem życiu Lwowa są one ostoją polskiego słowa i polskiej kultury. Krzewią zamiłowanie ojczystej literatury, polskich zwyczajów i obyczajów, uczą piękna, prawdy, zapoznają z wielką i wspaniałą przeszłością naszych ojców. W lwim grodzie kresowym, jakim zawsze był Lwów, teatry są bijącem jego sercem, o które dbać winni wszyscy, którzy patrzą w przyszłość i pragną prawdziwego rozkwitu polskiej kultury.

Z wędrówek ks. Walii po Indyach.

Aby osłabić wrażenie rozszerzającego się coraz bardziej ruchu rewolucyjnego w Indyach, w którym biorą udział zarówno Hindusi jak Muzułmanie, rząd angielski dokłada wszelkich starań, aby cały świat dowiedział się o entuzyastycznem przyjęciu, z jakiem spotkał się ks. Walii na ziemi indyjskiej, że zatem nie jest tak źle, jak mogłoby się komuś wydawać. Księcia następcę tronu witają wszędzie owacyjnie i przyjmują oficyalne sfery angielskie, z ludności miejscowej zaś ci, którzy zmuszeni są do tego z jakiegokolwiek powodu, w pierwszym rzędzie zatem hindoscy notable, których interesy związane są ściśle z rządem angielskim. Odbywają się zatem nieodzowne w Indyach polowania na tygrysy, rozmaitego rodzaju festyny, urzędowe przyjęcia i posłuchania, ogół ludności, jak już poprzednio o tem donosiliśmy, udziału w tem nie bierze, choć książę podróżuje jedynie po najspokojniejszych okolicach, nie myśląc się bynajmniej narażać na spotkanie z przedstawicielami idei „Stanów Zjednoczonych Indyi", które miały być proklamowane już w dzień 1. stycznia b. r., nie wiemy jednak dotąd, czy to nastąpiło i jaki miało skutek.

Z TEATRU.

Teatr miejski im. Jul. Słowackiego.

Wznowienie „*Horsztyńskiego*" dramatu Jul. Słowackiego (5 aktów, 9 odsłon) oraz nowość „*Czysty interes*" komedya w 3 aktach, Stefana Kiedrzyńskiego.

Nie zapominając o „Orlątku" Rostanda, musimy przyznać, że od czasu wystawienia „Nocy listopadowej" i „Legionu" Wyspiańskiego, nie mieliśmy na scenie teatru im. Słowackiego utworu wystawionego z takim pietyzmem, jak obecnie „Horsztyński". Wprawdzie na chwałę obecnego dyrektora p. Trzcińskiego i reżyserów pp. Jednowskiego i Sosnowskiego powiedzieć trzeba, iż wogóle starają się o możliwie najwyższy poziom wystawianych nowości czy wznowień sztuk dawniejszych (np. „Miłosierdzie" i „Straszne dzieci" Rostworowskiego, „Zemsta", „Śluby panieńskie" Fredry i inne), jednak dawno wysiłek nie był tak wielki i wszechstronny, jak tym razem. Praca i starania nie zawiodły — to też rezultat całości zasługuje na wielkie uznanie. Przedewszystkiem dekoracye pomysłu artysty malarza p. I. Galla są wspaniałe, oparte na rzetelnem znawstwie mieszkań i zamków drugiej połowy 18. wieku. Sharmonizowano zręcznie architekturę z wewnętrznem urządzeniem, które pod każdym względem jest stylowe, zgodne ze współczesnością. Również i kostyumy, stroje kobiet i mężczyzn — strojne, bogate a wierne, zapewne na Matejkowskich szkicach i obrazach oparte. We wszystkiem myśl i celowość.

A gra artystów? — Powyższy dramat Słowackiego, to jedna z najbardziej smutnych i rozdzierających tragedyj ludzkich żywiołów człowieczego stosunku do własnego sumienia, bliźnich, ojczyzny i samego Boga! Ludzie w „Horsztyńskim" oplątani są i spowici kajdanami bądź popełnionych zbrodni (Hetman), bądź też sparaliżowanych marzeń, zamiarów



Z wędrówek ks. Walii po Indyach: Scena z polowania na tygrysy, urządzonego na cześć ks. Walii.



Z teatru: Teatr miejski im. Jul. Słowackiego: Salomea (p. Nosarzewska) i Horsztyński (p. Sosnowski) w „Horsztyńskim“ J. Słowackiego.

lub czynów. Ich przeznaczeniem więdnąć i schnąć w wiekuistej męce, aż wybawi z niej dobrotliwa pani — miłosierna śmierć!

Smutno też, niedomówieniami i męką wewnętrzną grać należy role w „Horsztyńskim“. A ogółem biorąc, w ten ton nasi artyści utrafili. Naprawdę zbolałym Szczęsnym był p. Białkowski, przesmutnie mówiły i patrzyły p. Nosarzewska (Salomea) i p. Kacicka Gallowa (Amelia). Wspaniale dumnym Hetmanem był p. Jednowski (dodałbym tylko do jego roli więcej szatańśtwa i piekła!) — zaś p. Sosnowski ślepego Horsztyńskiego odtworzył z całą psychologiczną głębią. Typowym szlachcicem, jako „starym sługą“ Hetmana był p. Szymborski, sceny zbiorowe wypadły dodatnio. Brak miejsca nie pozwala niestety omówić szczegółowo tego dramatu (przez Słowackiego niedokończonego!) i tego przedstawienia; zaznaczam zatem krótko, że, wystawiając „Horsztyńskiego“, zgotowała dyrekcya publiczności wieczory o wysokim nastroju, gdzie treścią: pęknięte ludzkie serca!

Tuż przed „Horsztyńskim“ wystawiono nowość: „Czysty interes“ Kiedrzyńskiego. Sztuka ta oscyluje między „komedyą“ a „farsą“. Zbudowana zręcznie, wprawnie, nie jest arcydziełem i tej zarozumiałości nie posiada, ale ze wszystkich „aktualności“ jest dotąd najweselszą i najzabawniejszą — bez płaczliwego sentymentu i łamania rąk ze zgrozy na widok n.p. Łatki krawca zostającego obecnie kroclowym panem! — Grano ją doskonale. P. Adwentowicz jak Cezar Ordyng wniósł na scenę dużo „amerykańskiego“ rozmachu i pędu, p. Gutner godnie reprezentował „nieskalanego“ mecenasa a już rekord osiągnął p. Szymborski jako Kordelas przemysłowiec, mający oprócz grubych pieniędzy także żonę „przemysłowcową“ (p. Ordyńska). — Na „Czystym interesie“ publiczność bawi się wybornie. *b—t.*



Nasz „Przewodnik literacki“.

W następnym numerze „Nowości“ otwieramy zapowiedziany „Przewodnik literacki“. Przedtem chcemy kilku słowy wyjaśnić cel jego wprowadzenia do naszego pisma.

Książki dziś są bardzo drogie. Kto może zdobyć się na ich kupno, radby za swój grosz nabyć rzeczy wartościowe. A czy można o wartości książki dowiedzieć się z jej tytułu? Czasem, ale nie zawsze, wystarcza nazwisko autora. Jedyną wskazówką bywają recenzye, w dziennikach umieszczane (inne peryodyki mają mało czytelników). Ale niestety, wskazówka to bardzo zawodna. Może ukazać się dzieło nawet znakomite, owoc poważnych myśli i żmudnych badań, a w prasie o niem panuje milczenie, ponieważ autor nie ma stosunków między recenzentami, nie należy do żadnej kliki „wzajemnej adoracyi“ lub do pewnego stronnictwa, a czuje wstręt do chodzenia za sobą. Odwrotnie, książki średniej wartości, a często nawet całkiem słabe, napisane bez talentu, spotykają się z gorącem, nawet entuzyastycznem przyjęciem przez „krytykę“. Przyjaciel przyjacielowi nie odmówi poparcia, koterya swemu członkowi urządza reklamę. Co więcej, są firmy wydawnicze, posiadające swych stałych recenzentów — co wyjdzie ich nakładem, musi być znakomite, wspaniałe, jeżeli nie epokowe, gdyż wydawcy znają się na grzeczności.

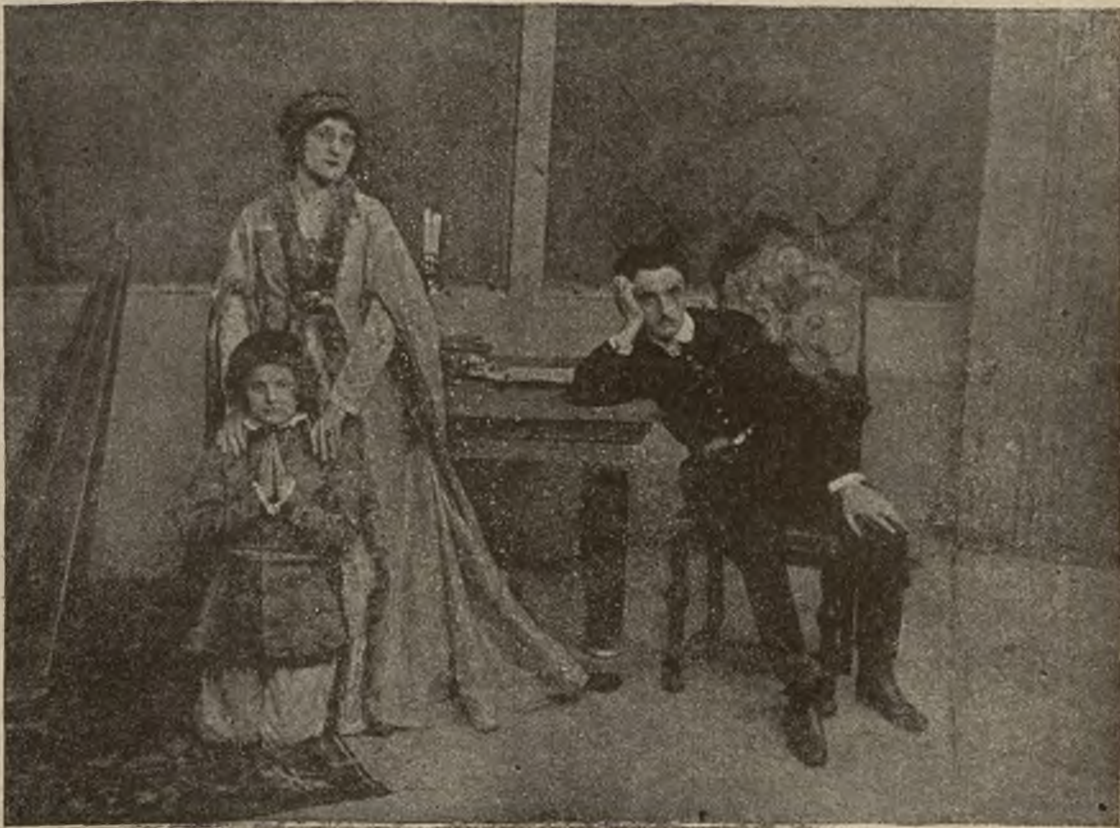
Nie twierdzimy, broń Boże, aby cała nasza krytyka dziennikarska ulegała tym wpływom. Są zaszczytne, bardzo zaszczytne i liczne wyjątki; są na szczęście krytycy, piszący to, co myślą, co zgodne z ich przekonaniem. Ale to wyjątki. Czytelnik, nie wtajemniczony w to, komu można wierzyć, w wyborze książki postępuje po omacku. Wprowadzają go w błąd zwłaszcza krótkie recenzyjki, wzmianki dziennikarskie, które najczęściej bywają szczytem nietylko powierzchowności, ale i niesumienności, jeżeli nie czelnej reklamy dla tandety. Nieraz taki „krytyk“ nie czyta nawet książki, którą „P. T. Publiczności“ poleca.

Nie można wreszcie zamilczeć, że powstały jeszcze przedsiębiorstwa i spółki wydawnicze, których powodzenie leży w osobistym interesie ich współpracowników, będących recenzentami. Stąd byle przedruk, byle „wybór pism“, witają głośne surmy reklamy.

Otóż celem naszego „Przewodnika“ będzie udzielanie sumiennych wskazówek co do „nowości wydawniczych“. Nie będziemy się kierowali ani sympatyami, ani antypatyami do autorów; nic też nas obchodzić nie będzie interes wydawców. Albo podamy krótko, objektywnie, co książka zawiera, albo podzielimy się wrażeniem, jakie odnieśliśmy z jej przeczytania. Sądzimy, że w ten sposób przysłużymy się naszym Czytelnikom.



Z teatru: Teatr miejski im. Jul. Słowackiego: Sforka z dworu Hetmana w grze p. Szymborskiego w „Horsztyńskim“ J. Słowackiego.



Z Teatru: Teatr miejski im. Jul. Słowackiego: Szczęsny (p. Białkowski), Amelia (p. Kacicka Gall) i Michaś w „Horsztyńskim“ J. Słowackiego.



Z teatru: Teatr miejski im. Jul. Słowackiego: P. Szymborski jako Kordelas w „Czystym interesie“ Kiedrzyńskiego.



Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: Julian Bartoszewicz. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina pod zarz. St. Kowalskiego